MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 35 WARSZAWA, 23 SIERPNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO 15 SIERPNIA

SZESNASTĄ ROCZNICĘ odparcia najazdu bolszewickiego spod bram Warszawy obchodziła cała Polska niezwykle uroczyście.

Uczestnicy obchodów doskonale rozumieli wagę tegorocznego święta sierpniowego.

Odrzucony w r. 1920 poza granice państwa polskiego, wróg zjawia się dziś w nowej, często zamaskowanej postaci — wewnątrz naszego kraju.

Niebezpieczeństwo żydowsko-komunistyczne, które zbladło po zwycięskiej rozprawie sprzed szesnastu lat, nabrało dziś świeżych rumieńców i wymaga zdecydowanego odporu. Dodajmy, w warunkach trudniejszych, niż wówczas, gdyż olbrzymi kapitał wiary, woli i entuzjazmu, jaki ożywiał w r. 1920 nasz naród, został w ostatnich latach w pewnej mierze roztrwoniony, w pewnej — zamrożony.

To też z uwagą śledziliśmy nastroje, jakie się w społeczeństwie polskiem ujawniły w dniu 15 sierpnia.

Trzy właściwie formacje polityczne, o których warto pisać, demonstrowały w tym roku swą siłę: Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Ludowe i t. zw. „sanacja".

Obchody urzędowe, jeżeli odliczymy wojsko, które nie jest własnością żadnego obozu politycznego i służyć może tylko Polsce jako całości, wypadły gorzej, niż blado. Jeszcze raz przekonali się ci wszyscy, którzy chcą widzieć to co jest w rzeczywistości, a nie to, co pragną ujrzeć, jak kruche, jak nikłe oparcie ma w społeczeństwie polskiem obóz pomajowy.

Stronnictwo Ludowe pokazało, że w pewnych punktach kraju, głównie w Małopolsce środkowej, potrafi zgromadzić na swe wiece znaczniejszą liczbę zwolenników. Nie jest to jednak organizacja politycznie jednolita, zdyscyplinowana. Rozpiętość poglądów ideowych w partji ludowców jest bardzo duża: od komunistów poprzez zwolenników sojuszu z socjalistami aż do bardziej narodowo usposobionego chłopa spod znaku Witosa. Żeby nie być gołosłownym wymienimy np. Zamość a nawet Wierzchosławice, gdzie ożywioną agitację w dołach prowadzili komuniści. W szeregu miejscowości wraz z ludowcami kroczyli socjaliści. Wreszcie bywały przykłady odcinania się ludowców od żydo-komuny i reakcje antyżydowskie.

Razem biorąc, obchody ludowców mogły zaimponować — ilością (zwłaszcza tym, którzy większych tłumów jeszcze nie widzieli), ale nie jakością.

Stronnictwo Narodowe odbijało od wymienionych obchodów zarówno swą postawą, jak i typem organizacji.

Stronnictwo urządziło 10 zjazdów okręgowych, 50 zjazdów bądź zebrań powiatowych i mniejsze zebrania lokalne. W zjazdach okręgowych i powiatowych wzięło udział zgórą 420.000 zorganizowanych członków Stronnictwa, nie licząc tysięcznych rzesz, manifestujących na ulicach, zwolenników ruchu narodowego.

Można zatem przyjąć, że około miljona narodowców demonstrowało swoje poglądy ideowo-polityczne.

Była to rewja sprawności organizacyjnej Stronnictwa, karności jego członków, wzorowej

dyscypliny politycznej. 15 sierpnia maszerowały zwarte oddziały, a nie bezładny tłum.

Ciekawe jest geopolityczne, że tak się wyrazimy, rozmieszczenie sił narodowych w kraju. Stronnictwo Narodowe objęło swą działalnością: Poznańskie, Pomorze, Śląsk, całą dawną Kongresówkę, Ziemię Czerwieńską i Małopolskę zachodnią, a nawet Wołyń. Trzeba dodać, że wpływy obozu narodowego są dziś na tym obszarze rozłożone dość równomiernie.

O sprężystości i postawie organizacji Stronnictwa Narodowego świadczyło wymownie szybkie likwidowanie wszelkich prób napadów czy dywersyj, jakie tu i ówdzie przeciwnicy nasi z komunistami na czele podejmowali.

Jesteśmy obozem walki, a nie wygodnym klubem dyskutantów.

Wreszcie uderzała młodość i dynamika naszego ruchu, zapał i oddanie sprawie narodowej członków Stronnictwa, które się dziś składa w głównej swej masie z chłopów, robotników, rzemieślników i młodej inteligencji.

Obóz narodowy posiada nietylko dzielność (blisko 100 członków Stron. Narodowego poniosło w ostatnich latach śmierć za ideję Wielkiej Polski), ale i duże możliwości konstruktywne.

15 sierpnia Stronnictwo Narodowe zmobilizowało sprawnie swoje szeregi, zademonstrowało swą siłę i pokazało, że jest w całym kraju, że walczy i że konsekwentnie do swoich celów zmierza.

Oczywiście, obchody i parady nie decydują o wszystkiem. Władzy ani się zdobywa, ani sprawuje obchodami. Udana rewja sił z 15 sierpnia jest tylko fragmentem w naszym pochodzie do państwa narodowego. Po sierpniowem święcie czekają nas dalsze walki, dalsze wysiłki.

Wskazaliśmy w czasie obchodów zwycięstwa nad bolszewikami, że dziś toczy się niemniej zażarty a bodaj trudniejszy, niż przed 16-tu laty bój z rozkładem żydowsko-komunistycznym, który od wewnątrz zatruwa dusze polskie i niszczy podstawy cywilizacji polskiej.

Głównem zadaniem, jakie dziś czeka nasz naród, jest generalna rozprawa z tem wszystkiem, co Polskę osłabia i do upadku prowadzi, co naród rozbija i znieczula, rozprawa, która się szybko zbliża.

Stronnictwo Narodowe dawno już walczy po jednej stronie barykady, mając naprzeciw zjednoczony obóz żydowsko-komunistyczny i jego świadomych bądź nieświadomych klijentów.

Obchody sierpniowe są dla nas zachętą do dalszej walki i pozwalają wróżyć, że zwycięży polski ruch narodowy.

Od nas tylko, od naszego męstwa i konsekwencji działania zależy przybliżenie momentu zwycięstwa!

TADEUSZ BIELECKI

RODOWÓD MONIZMU PRAWNICZEGO

Metody życia zbiorowego wywołują pewne szeregi zjawisk, zespolonych zawsze i nieuchronnie, tak dalece, iż gdy jedno z nich dostrzeżemy, inne z tego samego szeregu znajdą się napewno tuż obok w czasie i przestrzeni. Tak np. wiadomo każdemu, że biurokracja, zanik samorządu i powiększanie ciągłe ingerencji państwa aż do omnipotencji i totalności państwowej, zjawiają się zawsze razem. Gdzie biurokracja znajdzie się choćby obok samorządu, tam niebawem wejdzie ona w samorząd, zniszczy go, i zacznie „rozbudowywać” państwowość, jak tylko daleko się da, a hasło omnipotencji państwa będzie dla niej jaknajbardziej pożądane. Podobnych szeregów jest więcej; wybrałem dla przykładu ten, bo najłatwiej się w nim orjentować.

Mam atoli zamiar zająć się pewnym szeregiem mniej znanym, nawet wcale dotychczas nie dostrzeganym. Członami jego: personalizm, organizm i dualizm prawniczy — *a contrario* zaś: gromadność, mechanizm i prawniczy monizm. Nowy monizm, dla wiary równie niebezpieczny, jak grzebany już w obecnej chwili monizm przyrodniczy; dla obyczajów gorszy od tamtego bez porównania, życiu publicznemu zagrażający ruiną, a cywilizacji zagubą. Mam oczywiście na myśli łacińską.

Szereg, o którym mam zamiar pisać, wywodzi się z bardzo głęboka i pozornie zdaleka, bo aż z religii. Miejmyż na uwadze, że ze wszystkich spraw publicznych „rzeczą” najbardziej publiczną jest religia. A geneza szeregu nader prosta.

Chodzi o stosunek człowieka do Boga, o czem w rozmaitych religiach rozmaite panują pojęcia. Stosunek ten może być dwojaki: indywidualny lub kolektywny, czyli osobisty lub gromadny.

Atoli wyrażenia: indywidualność, indywidualny, indywidualistyczny uległy cenzurze. Trudno, wyrazy zmieniają znaczenie. Zarzucono indywidualizmowi, jako był uprawiany ujemnie. Ależ wszystko, co ludzkie, może być robione dobrze lub źle, dodatnio i ujemnie. U nas trafiały się doprawdy fatalne określenia indywidualizmu. Np. oświadczył Przybyszewski: „Najdostojniejszem zadaniem człowieka jest rozwijanie własnej indywidualności, kult boskiego tonu w sobie, wydobywanie się z gromady, łamanie praw, obowiązujących duchy niższe, bo cały postęp świata jest łamaniem praw niższych, by móc wstąpić na wyższe szczeble doskonalenia się”.

A któreż są niższe? Czy to nie pozostawione do własnowolnego, swobodnego uznania? Polskie spóźnione wydanie *Uebermensch*'a nie dopisało; o ile zaś przyjmowało się, dawało skutki ujemne.

Zamiast mówić i pisać o indywidualizmie dodatnim i ujemnym, obmyślił francuski filozof Rénouvier „personalizm”, co potwierdziła około roku

1920 komisja układająca „*La vocabulaire technique et critique de la philosophie*". Nasuwają się wątpliwości, czy za każdym razem, gdy się wykryje fałszerstwo pieniędzy, należy nowe robić, ale cóż począć, skoro tamci uchwalili, a my w literaturze filozoficznej znaczymy tak mało? Niemieccy autorowie jakby na rozdrożu, pisują czasem jeszcze po staremu, np. Spranger i Mueller-Freienfels; najciekawsze jednak, że takiemu zdeklarowanemu „personaliście", jak X. Schuster, wymyka się czasem stare przyzwyczajenie. Ale rozstrzygnęło piśmiennictwo francuskie, nadające bądź co bądź ton obozowi katolickiemu całego świata. Najnowszy głos w tej materji, X. Peillaube, brzmi stanowczo i radykalnie; np. jako „indywidualność bierze początek w materji", a personalność nie. Wielki chorąży religijnego „ruchu etycznego", Feliks Adler, proponował zaś, żeby personalność uznać za nadbudowę indywidualności, lecz myśli jego nie podjęto.

W polskim języku ciężko tu używać wyrazów pochodzących od „osoba", i żeby nie wywoływać nieporozumień, wolę mówić z francuska: personalizm. Jakimkolwiek zresztą będziemy posługiwać się wyrazem, zgodzimy się wszyscy, że najwyższym wyrazem indywidualności — personalności będzie zawsze: *sua mente vivere* — i że to trzeba pielęgnować, a zaniedbanie tego „*ist ein Unwert und schlecht, somit verboten*", jak oświadcza X. Schuster.

Ale gdy chodzi o dociekania w zakresie stosunku człowieka do Boga, można śmiało używać wyrażenia „osobisty".

Radykalnie wyraził się o tem Hémon: „*Toute morale est une culture de la pérsonalité*". Ów zaś Adler, żyd, bynajmniej nie mający zamiaru zbliżać się do katolicyzmu, wywodził, jako każdy człowiek z osobna posiada wartość bezwzględną i stanowi sam w sobie podmiot etyczny, przyczem zamyka wywody swe takiem zdaniem: „Osobistość musi być zabezpieczona przed nadużyciami i w tym sensie jest uświęcona". Zdanie to brzmi zupełnie po katolicku, zaczerpnął to oczywiście z cywilizacji, łacińskiej, której wpływom uległ zresztą w niejednym szczególe. Szczegół taki, przygodny, a jak dobitnie stwierdza identyczność cywilizacji łacińskiej z katolicyzmem!

Identyczność oczywiście obustronna. Niema katolicyzmu bez tej właściwości ducha, którą zowiemy personalizmem i runęłaby też cywilizacja łacińska, gdybyśmy przestali personalizm pielęgnować. Maritain słusznie głosi, jako cechą „nowej cywilizacji chrześcijańskiej" musi być „uwypuklenie znaczenia jednostki i jej samodzielności w stosunku do środków doczesnych i politycznych".

Ale Chińczyk gorszy się naszym „upadkiem" (*sic!*), tak niskim, aż do „religijnego indywidualizmu, do osobistego stosunku każdej jednostki do jej Boga". Tam tylko cesarz był „synem nieba" i on tylko mógł składać ofiary i zanosić modły do „Najwyższej Istoty" i jeden był tylko ołtarz „Nieba", a był pośród pałacu cesarskiego. Nie uznaje też personalności cały buddyzm, a wyznawca religij braministycznych występuje wobec swego bożka jako członek pewnego zrzeszenia (kasty). Ten ideał gromadności dotarł do cerkwi prawosławnej i stał się podstawą kultury turańsko-słowiańskiej, t. j. moskiewskiej. U nich nawet „poczucie mistyczne winno być zbiorowe, nie zaś indywidualne" — jak wykazał Jasinowski.

Żydowska religia zawiera predestynację gromadną, gdyż stosunek żyda do Jehowy jest przywilejem żydowskiego urodzenia. Ucho Jehowy otwarte jest tylko dla żyda, jako takiego. Wyobraźmyż sobie, że katolik robiłby w każdej modlitwie zastrzeżenie, że modli się tylko jako np. Portugalczyk, że uznaje tylko jakiś specyficznie portugalski stosunek pomiędzy Stwórcą a stworzeniem. Co dla katolika absurdem, stanowi artykuł wiary dla braminizmu i judaizmu.

Osobisty stosunek do Boga siłą naszą; bo choćby zrzeszenie dopuszczało się najcięższych przewinień, stosunek jednostki do Boga pozostanie czystym, skoro tylko zła nie aprobuje. Z tego wywodzą się głębie etyki katolickiej, będącej zarazem etyką cywilizacji łacińskiej.

Oczywiście w personalizmie odpowiedzialność jest surowsza, gdy tymczasem odpowiedzialność zbiorowa bywa najlepszym wykrętem od wszelkiej odpowiedzialności.

Wyrazicielami tych różnic są spowiedzie: katolicka wyłącznie osobista i szczegółowa, a żydowska gromadna, publiczna i ryczałtowo ogólnikowa. Z żydowskiej naśladowana jest protestancka. A w pewnym kierunku buddyjskiego „dużego wozu" pojawiła się nauka o odpuszczeniu grzechów (nie bardzo zgodna z istotą buddyzmu!) i w dalszej konsekwencji spowiedź. Z niektórych grzechów trzeba się spowiadać przed zebraniem złożonem z dziesięciu osób (tak samo u żydów), lecz w miarę ciężkości przewinień zmniejsza się ilość tych powierników spowiedzi. Wielkie zbrodnie wyznaje się w głos przed 25 buddami (oczywiście niewidocznymi) trzy razy w dzień i trzykroć nocą. Są to „buddowie wyznania i przebaczenia".

Jakżeż przy takich spowiedziach maleje świadomość osobistej odpowiedzialności! A w miarę jak rośnie lub maleje odpowiedzialność, wzrasta lub zanika obowiązkowość.

Otóż jak wszystkie a wszystkie przymioty, wady i zalety, pojęcia i metody czynów, słowem, jak wszystko, co ludzkie, podobnież i personalizm ma dwie strony życia; może się przejawiać w życiu prywatnem i w publicznem. Polityk czy polityk, działacz czy szalbierz społeczny, może postępować personalnie i kolektywnie w bardzo licznych wypadkach. Etyka katolicka publicznego życia — zatem zarazem metoda działania cywilizacji łacińskiej — jest w tej materji określona dokładnie, z całą ścisłością:

„Połączenie pojęcia godności ludzkiej z miłością bliźniego, czyli indywidualizmu z solidaryzmem rozstrzyga o wartości społecznej chrześcijaństwa" — określa rzecz Halban. Przeciwko oddawaniu społeczeństwa pod nadzór państwa, przeciw temu, by jednostkę poświęcać jakimkolwiek programom społecznym czy państwowym, protestował już dawno Janet. Schuster przypomina, jako państwo ma swe granice przyrodzone i nieusuwalne w prawach indywiduum, których znosić nie można. Albowiem „jednostka ludzka istniała wpierw, niż państwo i posiada swe przyrodzone prawa" — woła nasz Ksiądz Prymas i dodaje: „Nie można pogodzić z prawem przyrodzonem pewnych współczesnych dążeń do zupełnego podporządkowania obywateli celom państwowym, do wyznaczania obywatelom jakiejś służebnej roli i do rozciągania zwierzchnictwa państwowego na wszystkie dziedziny życia. Regulowanie każdego ruchu obywateli, wtłaczanie w przepisy państwa

każdego ich czynu, mechanizowanie obywateli w jakiejś globalnej i bezimiennej masie sprzeczne jest z godnością człowieka i z interesem państwa, bo zabija w obywatelach zdrowe poczucie państwowe... Państwo nie jest antytezą jednostki, lecz uzupełnieniem jej prywatnego bytu". Innemi słowy, jak czytamy w podręczniku etyki X. Szymeczki: „Obywatele nie są własnością państwa, lecz łączą się w państwo, by sobie ułatwić życie".

Przytoczona tu garść spostrzeżeń starczy, by wskazać, jako rozróżnianie cywilizacyj nie jest tylko jakąś łamigłówką teoretyczną, ale posiada bardzo a bardzo wielkie znaczenie praktyczne. Wszystkie współczesne wątpliwości co do stosunku państwa do narodu, które zżerają siłę twórczą narodów i zagważdżają na kontynencie Europy możliwości kulturalne, które legły paraliżem na wszelkiej przedsiębiorczości ku rozwojowi dalszemu cywilizacji łacińskiej — powstały nieskądinąd, jak z obecnej mieszanki cywilizacyjnej w Europie (a co w Polsce, niestety, występuje w najostrzejszej formie).

Pospolity dziś w Europie typ człowieka, cywilizowanego trochę z łacińska, trochę z żydowska, w Niemczech z bizantyjska, w Polsce nadto trochę po turańsku, jest w gruncie rzeczy acywilizacyjny. Nie bardzo sobie radzi ze swem człowieczeństwem; jak zwierzątko myśli tylko o ruji i o żerze, a wszystko inne nakręca stosownie do tych dwóch jedynych swych potrzeb. Co jemu po wszystkich rozważaniach! Wszelkie *abstracta* ani go ziębią ni parzą — jednak w sprawie personalizmu czy kolektywizmu musi się decydować. A czy widział kto kiedy choćby jednego takiego bastarda cywilizacyjnego, który byłby przeciwny gromadności, kolektywizmowi? Wszystka ich rzesza przy Marxie, po cichu (do czasu) przy Leninie. Personalizm — czują to dobrze — to dla nich trucizna. To też zawsze są zgodni w tem, iż radziby utrącić Kościół, najwyższego piastuna i protektora personalizmu.

Nienawiść personalizmu wiedzie do miłości mechanizmu w życiu publicznem.

Niestety, ogół naszej inteligencji za mało posiada orjentacji w tem zagadnieniu, dziwnie pomijanem. Nie wchodzę tu w żadne rozstrząsania filozoficzno-przyrodnicze, lecz ustawiam sprawę na płaszczyźnie historycznej, a zgodzimy się uważać za organiczne to, co powstaje i rozwija się historyczno-ewolucyjnie; za mechanizm zaś wszystko to, co jest genezy sztucznej. Podział taki pokrywa się najzupełniej z aposterioryzmem i aprioryzmem. To pewna, że aprioryzm wydawać może tylko mechanizmy.

Takim-to największym mechanikiem był Konfucjusz. Triumfował z podniesienia moralności płciowej, gdy skutkiem odpowiedniego nakazu mężczyźni chodzi inną stroną ulicy, a kobiety inną. Mawiał: „Gdybym posiadał władzę królewską, nie potrzebowałbym więcej, jak jednego pokolenia, żeby zapanowała wszędzie cnota". Objeżdżał więc dwory współczesnych chińskich monarchów dzielnicowych, a Menucjusz robił później to samo — szukając „ingerencji" po swojej myśli. Nawet muzyka zależała od władzy; tem bardziej kalendarz, pismo i ceremonje stosownie do obranego przez jakąś dynastję „systemu kalendarzowego". Były do wyboru trzy systemy „instytucyj": czarne, białe, czerwone, zwane tak od przepisanej maści zwierzęcia ofiarnego wielkiej ofiary, składanej niebu przez cesarza. Od trafności doboru mogły zależeć ważne sprawy państwowe i to wmawiano w ogół! Formalistyka nadewszystko, bo państwo uważali za mechanizm, który da się rozmaicie nakręcać, ale nakręcany być musi. Nie widziano innego wyjścia, nie znano innych metod,

Nietylko Konfucjusz i nietylko w Chinach poszukiwał monarchy, któryby posłuchał filozofa. Ta metoda w stosunku do spraw publicznych trwa już półtrzecia tysiąca lat. Cóż innego robił np. Hoene-Wroński, pukając wciąż do monarchów od Paryża do Petersburga?

W Chinach nauczono się wcześnie, jak to właściwie należy robić: Sławny komentarz do księgi Konfucjusza „Wiosna i jesień", ułożony przez Tong-Czong-szu (175 — 105 przed Chr.) zawierał trochę krytyki przeciwko rządzicielom, był tam nawet osobny rozdział o biedzie i rozrzutności (coś jakby o „ściskaniu pasa", o „surowem życiu" i t. p.). Skazano autora na śmierć, a gdy go jednak ułaskawiono, nigdy już nie występował z twierdzeniem, jakoby w postępowaniu rządu należało coś zmienić. Tematy u góry niepożądane znikły w ogóle z piśmiennictwa chińskiego. W metodzie rządów mechanicznych taki brak narzekań stanowi dowód, jako niema widocznie powodów do narzekań i rzecz ubita. Sprawę przykręcono gruntownie na długi szereg pokoleń.

„Mechanika" ta nie jest nieznaną Europie!

(Dok. nast.) FELIKS KONECZNY

DRAMAT RIMBAUDA

OBECNIE JUŻ bezwątpienia można stwierdzić, że wraca koncepcja metafizyczna świata. Szczególnie we Francji rośnie dziś ruch mistyczny, na podstawie chrześcijańsko-katolickiej.

W literaturze opanowuje on coraz obszerniejsze pozycje. Razem z mistyką odnawia się psychologja twórczości artystycznej. Wraca romantyczna koncepcja poezji, płynącej z ducha, przekonanie, że twórca jest człowiekiem walczącym. Nie formalizm, który się sam w sobie wyczerpał i zjałowiał na grach słownych, lecz mistyka twórczości, jak np. u Claudela, przychodzi do głosu. Wielka i prawdziwie trwała poezja może być zbudowana jedynie na przeżyciach duchowych. A z niemi razem grożą artyście niebezpieczeństwa i burze — im wrażliwsza organizacja duchowa, im szczersze ustosunkowanie do sztuki, do życia, — tem większe i bardziej niszczące. Z tych walk, załamań i uniesień rodzi się to prawdziwie ludzkie, co przemawia do nas z każdej strofy, z każdego zdania wielkiego poety. Tylko niewielu artystów zdobyło spokój wewnętrzny przed końcem twórczości, który niezawsze zbiega się z końcem życia. Ci są olimpijczykami, półbogami i są podziwiani, lecz zazwyczaj mniej kochani, niż owi bun-

townicy nieukojeni, błąkający się i poranieni, bardziej ludzcy, lecz nie przestający być wielkimi. Ich słowa są żywym płomieniem i nie ostygają nigdy.

Takim był Artur Rimbaud, dziwny, genjalny chłopiec, przez swe życie i przez swą poezję przełamujący się z szatańską dumą, śpiewak samotny dróg, któremi przewędrował do Paryża. Razem z 50-cioleciem symbolizmu i jego rocznica nadeszła. Zajmowano się nim zawsze bardzo wiele, jest zagadką psychologiczną, stworzył niejedną grupę naśladowców, teraz zaś poezja francuska znów się od niego uczy, nowych rzeczy. Jest wielostronny i niewyczerpany. W wydanej niedawno książce Daniel Rops [1]) nanowo próbuje rozwiązać postawione dawno zagadnienia. Pisarz-katolik, należący do ruchu mistycznego dzisiejszej literatury francuskiej, stworzył piękne studjum, gdzie z pietyzmem i zrozumieniem ujął problemy życia duchowego i poezji Artura Rimbaud. Główną jego i najpiękniejszą zdobyczą jest dowiedzenie zasadniczego chrześcijaństwa poety. Po głębokim wstępie, krytykującym myśl współczesną za jej lekkomyślność i bezpłodną pewność siebie, za brak poczucia chrześcijańskiego odróżnienia dobra i zła, Rops zwraca się do psychiki Artura Rimbaud i rozpatruje ją z tego stanowiska. Rimbaud jest poetą chrześcijańskim. Czyż to nie paradoks? Ten, który zaprzeczał — czasami — najwyższym prawdom, który bluźnił świadomie i zuchwale i nie poddawał się w swem życiu żadnym ustalonym nakazom moralnym — to poeta chrześcijanin? Tak, bo walczył przeciw Prawdzie, mając poczucie Jej ustalenia. Bo „w chwili, gdy cała cywilizacja zachwycała się racjonalistycznemi koncepcjami i argumentami Taine'a, on potrafił wszcząć jedyną walkę, *qui vaille la peine*, tę walkę duchową, równie brutalna jak walka ludzi" („Rimbaud"). Ten ostry konflikt wewnętrzny, który Rimbaud odczuwał tak silnie, że używał do odmalowania go słów o znaczeniu fizycznem („*Dure nuit! Le sang séché fume sur ma face*"), ten dramat duchowy, zapełniający całą jego egzystencję ziemską, czyni zeń właśnie chrześcijanina. Poczucie realności rzeczy duchowych, niebezpieczeństw, przeciw którym szedł z lucyferową dumą, czyni zeń anioła, choć upadłego. Jednak Daniel-Rops nie pragnie pisać hagiografji poety, malować go jako wzoru, jak to próbowali niektórzy jego krytycy. Przedśmiertne nawrócenie Rimbaud'a, o którem wiemy z relacji, godnej wiary, jego siostry Izabeli, nie upoważnia do czynienia zaś wzoru poety-katolika (były i takie koncepcje).

„Rimbaud, jak Pascal, szukał jęcząc" — przez wszystkie swe upadki i bluźnierstwa. Ogromna niecierpliwość, zapalczywość ciągle trwająca, niedawanie sobie spokoju w rozpoczętych niebezpiecznych wyprawach w Nieznane — to jes właśnie owa „*chasse spirituelle*", jak nazwane było jedno z zaginionych dzieł Rimbauda. Kiedy doszedłszy do kresu przeczenia, dotknął jakiejś niewidzialnej przeszkody i w nadnaturalnym strachu zrozumiał, że niepodobna iść dalej — to złamał swą poezję, kazał jej milczeć i w kamiennej ciszy pozostał aż do śmierci. Ten chłopiec, który skończył pisać na szczycie rozwoju poetyckiego w tym wieku, w którym inni zaledwie zaczynają, umiał sobie nakazać absolutne milczenie. Pojechał w pustynie egzotyczne, które przedtem tak wizjonersko opisywał, i tam uczynił wszystko, aby spod powłoki podróżnika i kupca nie wyzierały „*les yeux de pervenche*" byłego poety. „*Mystique à l'état sauvage*" nazwał go inny wielki, lecz spokojnie radosny mistyk, Claudel. Dzikim był Rimbaud w swej twórczości i w jej zaprzeczeniu zarówno. Dzikim i bezkompromisowym był wogóle: dla siebie, dla ludzi, dla wszelkich skamieniałości obyczajowych, dla ustalonych norm organizacji społecznej. Nosił „gniew we krwi" i miłość jego była pełna gniewu, jak nienawiść. Jest zresztą pewna wysokość, gdzie granice między miłością a nienawiścią nie dadzą się wytyczyć.

Złośliwy i przepełniony pasją niszczenia, robiący dzikie kawały lub wydający Verlaine'a policji w Brukseli, jest Rimbaud doskonałem wcieleniem „*voyou*". Stylizuje się na takiego. Ale czasem serce przemówi, bezpośrednio i gorąco, i niezawsze uparty herezjarcha zdąży zatuszować jego słowa drwinami. Ciężka i niespokojna wczesna młodość po takiem samem dzieciństwie, uczyniły z dumnego i zaciętego chłopca świetny materjał na przyszłego poetę buntu.

Głęboko wkorzenione w jego duszę dążenie do maskowania się — czem można tłumaczyć rozmaitość jego postaw duchowych, znanych z utworów — stwarzało, być może, owo ustosunkowanie się gorszące i bezceremonjalne np. do środowiska literackiego w Paryżu.

Szukał za wszelką cenę rzeczy nadzwyczajnych — tu łączy się z większością symbolistów i impresjonistów, — przez wyjątkową, genjalną i sugestywną wizyjność swoich utworów otwierał nowe drogi do nieznanych światów pojęć czy kolorów. Daniel-Rops łączy te cechy z dziecinnym instynktem przeinaczania rzeczywistości danej.

Tragedja czystości była częścią jego wewnętrznej walki. Ogromnie subtelnie a przenikliwie analizuje — słowo to jest zbyt chłodne dla tej pełnej uczucia i odczucia pracy — Daniel Rops ukryte zmagania się Rimbauda z tęsknotą za utraconą młodością. Kiedy człowiek dorasta i wchodzi w życie, musi się zgodzić na kompromis i nie może zachować w pełni królestwa harmonji, dzieciństwa. Życie gorszy dziecko to fakt. Ale to fakt, który Rimbaud odrzuca. W czasie pisania swych pierwszych poematów i słynnych „*Illuminations*", mając mniej więcej lat siedemnaście, Rimbaud został zaskoczony tą rewelacją życia. Należał do tych, którzy niełatwo się żegnali z dzieciństwem, z własnym, nie liczącym się z realnością, światem: a raczej nie chciał się z nim żegnać wogóle, zmnienił go na świat swej poezji, ale rozłam wewnętrzny podkopał jego twórczość. Może tu należy umieścić wytłumaczenie jego namiętnej i drwiącej nienawiści do kobiet, i dowiedzionych lub nieustalonych faktów jego życia zmysłowego.

Zdrada czystości, pierwotnej niewinności człowieka dręczy go w planie duchowym, urasta do bolesnego poczucia słabości. Gotów jest szukać spokoju i połączenia z naturą w krajach egzotycznych — uczyni to kiedyś nietylko w słowie, tylko wtedy już niczego się o tem nie dowiemy, bo niepodobna nic wyczytać z jego oficjalnych raportów, suchych i rzeczowych. Dochodzi do pogaństwa, do czci ciała. To wieczna pokusa człowieka, mówi Daniel Rops. „Odnaleźć czystość nie

[1]) Daniel-Rops: „Rimbaud. *Le drame spirituel*", Paryż, Plon, 1936, str. 253.

w świadomości (lub sumieniu — *conscience)* — lecz w tem, co jej (świadomości) przeczy" — iść tą drogą do końca, znaczy to wyzywać Boga. Tego się przeląkł Rimbaud dopiero wiele później, na ostatnim etapie swej wyprawy metafizycznej.

W tych wszystkich próbach wyjaśnienia stanów psychicznych poety, Daniel Rops nie jest bynajmniej arbitralny. Tłumaczenie jego jest zawsze twórcze i prawdopodobne, nie obejmuje jednak całej rozciągłości takich konterfektów. Mam wrażenie, że przyczyny, analizowane w tej książce oddzielnie jako źródła poszczególnych cech burzliwej i zaciętej psychiki poety, są ze sobą niezmiernie powikłane i razem tworzą owe liczne zagadki, z któremi się ciągle czytelnik lub krytyk Rimbaud'a spotyka. Taka niezgłębiona dusza była nieskończenie wieloboczna, i trudno stwierdzić z pewnością, jakie przeżycie przeszło w ten czy ów konflikt wewnętrzny i w nim się zmieniło nieraz do niepoznania.

Marzenie o powrocie do natury, do Wieczności, marzenie o człowieku — synu Słońca, przemienia się w nienawiść do ustalonych form, socjalnych także. To jest uniknięciem zasadniczego chrześcijańskiego problematu dobra i zła, postawienie człowieka „poza dobrem i złem" według Nietzschego, uwolnienie go od odpowiedzialności, pogaństwo. Ale to zawodzi, prowadzi Rimbauda zamiast ku ukojeniu „o krok dalej ku zupełnej rozpaczy". Rimbaud należał do tych niewielu, którzy nie umieją znieść kompromisów, odrzucają je. I teraz doprowadzi swą *„chasse spirituelle"*, pościg duchowy, do końca: będzie przeczyć wiecznej Prawdzie, dopóki nie uderzy czołem o granicę nie do przebycia, o Istnienie, niedostępne ludzkiemu poznaniu, i wtedy, rezygnując z szatańskiego swego zakładu, złamie subtelnie wyrobione i ogniście kute narzędzie walki: swój cudny język zabije na zawsze. A jeśli się nawróci do Boga u końca życia, to także bez kompromisu, całkowicie, ascetycznie. Przed tem, w Afryce w ostatnich latach stanie się ascetą równie surowym, jak kiedyś był buntownikiem.

Stąd odrzucenie zależności ludzkiej, dumne wyzwanie, rzucone Bogu, w którem Rimbaud załamuje się. A jednak znajduje się w jego utworach wiele niespodziewanych, zaraz tuszowanych uniesień głębokiej modlitwy, *„une sorte de tendresse"* do Chrystusa! Potem wraca gniew. „Grzesznik, czuł się grzesznikiem i jego gniew wzrastał, bo nie chciał się uznać za grzesznika". Tu leży jego zasadniczy chrystjanizm: jeśli w sumieniu swem ma poczucie grzechu, pozostaje, mimo wszelkich zapomnień, chrześcijaninem. Tragedję Rimbauda Daniel Rops uważa za symbol zabłąkań myśli współczesnej: ona także odrzuca dolę człowieczą, chce zapomnieć o odpowiedzialności moralnej i załamuje się. Rewolucyjność Rimbauda, jaką mu przypisywano, Daniel Rops ujmuje w sensie najszerszym, nie tak, jak chciano go interpretować czasami. Owszem, łatwo byłoby zbudować z jego tekstów apologję rewolucji socjalnej, lecz ta rewolucyjność jest częścią jego wielkiego buntu. Metafizyczny, lucyferyczny bunt jest na innym planie, niż marxistowski materjalizm. Jego indywidualizm sprzeciwia się pojęciu kolektywnej twórczości. W pewnym sensie każda prawdziwa poezja jest rewolucyjną, bo jest najwyższem wyrażeniem wewnętrznego dramatu człowieka — a u Rimbauda te konflikty wewnętrzne sięgają szczytu natężenia.

Rimbaud poszedł jeszcze dalej, poza romantyczną buntowniczość. Pragnie *„se faire un voyant"*, dotrzeć tam, gdzie się kończy świadomość ludzka i odkryć zagadkę, tajemnicę bytu. W tej dziedzinie, jest on jednym z największych „widzących". *„Et j'ai vu quelquefois ce que l'homme a cru voir"* — to prawda. Poznanie metafizyczne jest dla śmiałych i ryzykujących. Inna rzeczywistość, niewymowna i ciemna, istnieje poza widzialną. Rimbaud miał niezwykłe poczucie tej drugiej strony istnienia. Ale duma prowadzi go do twierdzenia, że „odkryje wszystkie tajemnice: tajemnice religijne i przyrodnicze, śmierć, narodziny, przyszłość, przeszłość, kosmogonję, nicość *(le neant)*" *(„Une Saison en Enfer")*. Jednak w głębi wiecznej nocy śmiały i dumny duch spotyka przeszkodę nie do przebycia, której nie może nie odczuć: „Niema tu nikogo i jest ktoś". Eksperyment Rimbauda wykracza daleko poza granice literackie poezji. To przeżycie metafizyczne, sięgające głębin duszy ludzkiej. Rimbaud chce ukuć język nowy, wyrazić niewyrażalne stany duchowe, wizje, stąd taka odrębność jego stylu, na którym znać walkę, zaciętą i szaloną, o kształt, kolor i dźwięk rzeczywistości poza zmysłowej, więc w tych kategorjach nie mieszczącej się. Przez świadome i nieludzkie wprowadzenie w nieład—*„déréglement"* wszystkich zmysłów chce uczynić się „najwyższym Mędrcem" — *le suprême savant*, według jego własnych słów z listu. Język jego staje się takim kosztem cudownem narzędziem zdobywania nieskończoności, czemś wiecznie zmiennem i nieuchwytnem, co zniechęca, udaremnia wszelkie egzegezy. Poza sensem istnieje poczucie prądów poza zmysłowego znaczenia.

Wszystko to było zadaniem ponad ludzkie siły. Załamanie nastąpiło, według przypuszczenia Daniela Ropsa, niedługo po słynnym dramacie brukselskim. U kresu doświadczenia mistycznego stoją tajemnice, które są ponad możność ludzkiego pojmowania. Święci zatrzymywali się przed niemi. Rimbaud inną drogą, korsarską, doszedł do tej przeszkody i odczuł przejmujący strach. Atmosfera strachu otacza *„Saison en enfer"*. Fizyczny i psychiczny organizm załamywał się pod ciężarem djabelskiego eksperymentu. „Zapadałem w sny kilkudniowe i, wstawszy, śniłem dalej najokropniejsze marzenia". Siostrze swojej powiedział słynne zdanie: „Nie mogłem tego przedłużać. Byłbym oszalał, i zresztą... to było źle" — *c'était mal"*. Ogarniony strachem przemożnym, przeczuciem rzeczywistości rozgraniczenia między dobrem i złem, któremu chciał zaprzeczyć, modli się: „Mój Boże, litości, schowaj mnie... jestem schowany i nie jestem nim". Czuł się fizycznie w piekle, ginął. Wtedy to dokonało się całkowite i ostateczne jego zerwanie z poezją. Złamał swoją broń korsarską, wrócił do prostoty, w Afryce żył surowo i moralnie. Załamanie jego twórczości nie może być przypisane żadnym innym pobudkom, prócz tych wewnętrznych. Przeżył w niem wiele. Musiał walczyć z sobą, pokonany przez Tajemnicę, żegnając się ze swą poezją, bo osiwiał, mając lat dwadzieścia pięć. Zaprzecza całem swojem późniejszem życiem lucyferycznej młodości.

A koroną tego zaprzeczenia jest końcowe zupełne nawrócenie, według świadectwa jego siostry, którego niema powodów uważać za niegodne wiary.

Rimbaud pozostanie na zawsze jednym z największych metafizyków poezji. Jest z tych wiecznie czuwających, którym rzeczywistości duchowe nie dają spokoju. Całem swojem wewnętrznem życiem podłożył trwałe podstawy dla swej sztuki. Daniel Rops zrozumiał to prawdziwie i głęboko ujął. Nic dziwnego — należy do tej samej kategorji ludzi, co znają strach, upojenie i niebezpieczeństwo mocy duchowych, co przeczą współczesności, zarozumiałej i pewnej swoich realnych doświadczeń, co walczą o powrót metafizycznej koncepcji świata.

HELENA RADZIUKINAS

CHIMERYCZNE SCHERZANDO

(Dokończenie)

PRZEMOC jest to naturalny nieodłączny motyw każdego państwa i tylko pod warunkiem zastosowania przemocy formuje się państwo i trzyma się na niej, jak trzyma się na szkielecie ciało nasze. Działanie najwybitniejszych duchów nawet, np. Chrystusa, bez zastosowania przemocy, państwa nie tworzy. Naturalną reakcją przeciwko przemocy są przestępcy i będą oni do końca świata. A fantazją i utopją jest myśleć, że kiedyś w przyszłości, gdy państwo wydoskonali się i gdy podniesie się jakoś poziom kultury, albo wzrośnie powszechny dobrobyt, albo nastąpi wogóle jakiś bliżej nieokreślony błogostan, to przestępców nie będzie. Przestępcy to zacna część ludzkości, to jest niby kwiat ciemiężonej przez państwo ludzkości.

Już napisaliśmy, że podobni są do siebie przestępcy polityczni i kryminalni. A naprawdę, można myśleć, że nawet najgorsi kryminaliści, najczarniejsi zbrodniarze też są jakgdyby przestępcami politycznymi i mogą kiedyś czasami okazywać się w nieoczekiwany sposób uplasowani na czele świata i stać się jego przewódcami i prowadzić go za sobą tak jak królowie i monarchowie, co jadą na czele wojska w pysznych strojach kapiących od złota. Chrystus zadawał się ze zbrodniarzami. W niektórych sytuacjach taki już ostateczny bankrut moralny bywa czasem narzędziem bardziej podręcznem od takich ludzi, którzy mają jeszcze jakieś złudzenia co do siebie. Nie można tu o tem pisać, a chodzi tylko o to, żeby pokazać, że przestępcy to instytucja wieczna i raczej nie oni są złem, ale państwo—choć jest ono złem koniecznem. Wobec tego i karanie musi być zawsze i nie może być ono humanitarne, a musi być bolesne. Chłosta jest to środek naturalny, uświęcony tradycjami. Niema się czego zanadto wstydzić karania, bo jest to proces normalny w państwie, proces w państwie fizjologiczny, a nie patologiczny, podobnie jak bóle przy porodzie są objawem fizjologicznym, a nie są sprawą chorobową. Zresztą, każdy władca może być tylko albo groźny, albo śmieszny i jeśli nie będzie groźny, będzie śmieszny, bo człowiek prosty czuje za sobą masę ludzką i czuje się mądrzejszym i zawsze ma ochotę trochę kpić z pana.

Można byłoby nawet powiedzieć, że ludzkość powinna sprzeciwiać się państwu, a państwo powinno przełamywać ludzkość i pognębiać ją. Ale trudno jest być doradcą dwu przeciwnych stron.

Tak samo można byłoby powiedzieć, że dzieci powinny sprzeciwiać się swoim rodzicom, ale trudno jest dzieciom doradzać nieposłuszeństwo. Wszelako normalne, dobre dzieci są to takie, które są niesforne i nieposłuszne i które muszą być bite. Czasami wprawdzie zdarzają się ludzie bardzo dodatni, pożyteczni, albo nawet i doskonali, a których jednak w dzieciństwie nie bito. Jednak są to wyjątki i możliwe jest to chyba tylko wśród ludzi o typie schyłkowym, to znaczy u ludzi, co mają mało energji życiowej, mało żywiołu. Ale ludzie, co są pełni życia, co zdobywają świat, tych prawdopodobnie zawsze się bije w młodości. Boć przecie świat tacy zdobywają żywiołem, który niosą w sobie, a żywioł ten dopóki są dziećmi i nie mają jeszcze woli i świadomości dorosłego człowieka, niczem więcej nie może być utrzymany w karbach jak tylko porządnem biciem od czasu do czasu. To też rodzice powinni się raczej niepokoić, jeśli dzieci ich są bardzo posłuszne, a cieszyć się, jeśli są krnąbrne i niesforne i są takie, które trzeba niezaprzeczalnie bić, walić, palentować, żeby aż słychać było w całej okolicy—wedle recepty: różdżką dziateczki Duch Święty bić radzi. Zresztą tysiące ludzi może łatwo zaobserwować na własnych rodach, że stopniowe likwidowanie bicia dzieci idzie w parze ze stopniowem umniejszaniem się i umieraniem rodu. Tak się też dzieje i z rodem Maciańskich.

Pokolenie mego ojca składało się z pięciorga rodzeństwa, moje z trojga, a następnego już nie widać nawet jakoś wcale. Otóż w związku z tem umniejszaniem się liczebności pokoleń szła u nas i likwidacja bicia, stopniowo zwyciężała nas, jak napisaliśmy na początku, deklaracja praw człowieka i stopniowo umierała rodzina. Zresztą tysiące ludzi może zaobserwować na własnych rodach podobne zjawisko stopniowego zmniejszania się ich siły życiowej z jednoczesnem likwidowaniem bicia[2]).

Ale tam, gdzie jest królestwo z tego świata, gdzie jest gra krwi, gra żywiołów, tam bije się. Zdrowi, normalni rodzice nie uchylają się od obowiązku zastosowania w razie potrzeby rózgi i tak samo panowie gotowi są w każdej chwili bić i wo-

---

[2]) Umieranie rodów to zjawisko normalne i żaden ród nie może trwać wiecznie i po osiągnięciu pewnego stopnia rozwoju, dobrobytu i kultury zawsze zaczyna kłonić się ku upadkowi i jakgdyby denaturować się, dematerjalizować się i przedstawiciele jego zaczynają zajmować się sprawami coraz bardziej idealnemi, nieziemskiemi i stają się coraz bardziej niepraktyczni. Jednak dzisiaj procesy te przebiegają szybko i chorobliwie, co idzie w parze z wielką szkodą dla ciągłości kultury, bo stale przychodzą do głosu nowi ludzie, i co jest przykre samo przez się dla każdego z nas. Śmierć zawsze jest przykra, jest to zawsze chwila, powiedzmy, pewnego wstrząsu w bytowaniu człowieka, ale śmierć przedwczesna, bez uprzedniego wyżycia się, jest jeszcze gorsza. A dużo osób karygodnie jeszcze w sposób sztuczny, umyślnie przyśpiesza ten smutny proces umierania własnych rodów—nie mają żadnych ambicyj rodowych.

góle stosować jaknajboleśniejsze represje nie bawiąc się w liberalizm, czy humanitaryzm. Trzeba też tu zaznaczyć, że ten liberalizm nie wynika, jakby mógł ktoś pomyśleć, z jakiejś dobroci, czy wspaniałomyślności, a poprostu z chęci zwolnienia siebie z wszelkich obowiązków. Naprzykład to, że się toleruje w Polsce publikacje, co piszą słowo „Bóg” małą literą i różne obelgi na religję, chociaż naród polski w większości swojej modli się, klęczy i całuje ziemię, to wynika, rzecz prosta, nie z jakiejś chrystusowej słodyczy katolików dzisiejszych, ale z ich gnuśnej słabości. I nietylko katolików, ale wogóle wszystkich uczciwych ludzi.

Nie trzeba być mędrcem i można zrozumieć odrazu, że taka działalność wolnomyślicieli godzi nie tylko w religję, ale wogóle we wszelkie człowieczeństwo, w którego obronie rzekomo występują liberałowie, godzi we wszelką godność ludzką, godzi w samego człowieka, równie dobrze w mistyka, jak w ateistę, w białego, jak w murzyna, jak i w żółtego. Właśnie liberalizm i humanitaryzm poniża człowieka. Naprzykład w kodeksie karnym nie jest przewidziana kara śmierci za gwałt na kobiecie. Przecież kodeks taki to plama na historji.

Są i dzisiaj zwolennicy rewolucji francuskiej, są i jej przeciwnicy. Aleć przecie nie rewolucja stała się przyczyną upadku pańskości i panów w Europie, a zwaliła ich już jako próchno. Wobec tego możliwem jest powiedzieć, że rewolucja była nawet czemś dobrem, ale mniej powinno chodzić o takie czy inne szacowanie rewolucji i niebardzo warto myśleć o niej. Zamiast tego lepiej myśleć o rzeczach ważniejszych, a mianowicie o tem, dlaczego nastąpiło zwyrodnienie europejskich panów i pańskości.

Dzisiaj, po tylu doświadczeniach entuzjaści liberalizmu i wszelkiej rewolucyjnej spuścizny mogą już chyba rozczarować się. Widzieliśmy, że wraz z liberalizmem i humanitaryzmem poniża się człowieka w najgorszy sposób, a wszyscy wiedzą też, że i uzależnia się go w sposób nieludzki, bo od potworów bezosobowych takich jak kapitalizm, maszyna i t. d. Modnie też jest dzisiaj łamać człowiekowi sumienie i robić go niewolnikiem tego czegoś, co siebie nazywa „państwem”, a co w rzeczywistości jest też potworem bezosobowym, bezpańskim, który rządzony jest nieraz przez niewiadomo kogo, przez jakieś ciemne, zakonspirowane szajki i mafje, co wstydzą się światła, przez różnych szpiegów, kretów i masonów, od których nieraz, jak wiadomo, i wywołanie wojny zależy i krew miljonów ludzi.

Dlatego też pożytecznie jest pomyśleć nad tem dzisiaj w Europie, co to jest pan, co to jest pańskość, co to jest państwo? Trzeba też zastanowić się nad tem, dlaczego to tak stało się, że ongiś, dawniej byli panowie w Europie, a dziś ich niema? Warto jest pomedytować nad tem, że zaszło takie dziwne zjawisko, że coś przestało być, choć... było. Należałoby też podeliberować nad tem, dlaczego to dawniej byli panowie, była pańskość, była idea władzy, była w panach pewność siebie, a dlaczego potem z biegiem historji to wszystko zaczęło jakoś stopniowo likwidować się, rozklejać się, tająć, dlaczego pańskość potrochu stopniała, dlaczego panowie potrochu upadli, zatracili się, zbledli, stracili pewność siebie i dlaczego to przestano na sobie polegać, a zamiast tego zaczęto odwoływać się do głosu ludu, zaczęto u mas zabiegać o aprobatę i z siebie na lud odpowiedzialność zwalać? Można też zapytać dlaczego to panowie dawniej mieli chęć i suknią wyróżniać się od ludzi, a dlaczego dzisiaj nikt nie chce wyróżniać się z tłumu, a wszyscy ubierają się jednako?

Należałoby też pomyśleć nad tem, jak pańskość o d-p o c z ą ć [3]).

Nie szkodzi też zwrócić uwagę na to, że t. zw. upadek polityczny Polski przypada akurat na koniec XVIII wieku, czyli na okres rewolucji i ostatecznego zwyrodnienia europejskiej pańskości—stąd łatwo wysnuć wniosek, że pańskość dla narodu polskiego jest rzeczą jeszcze ważniejszą, niż dla jakiegokolwiekbądź innego.

Wszakże w niniejszym artykule nie można już znaleźć miejsca na analizowanie procesu historycznego upadania pańskości i panów w Europie, zakończonego rewolucją i wreszcie niedolą dnia dzisiejszego. Jest to proces olbrzymi, wielowiekowy, proces konsekwencji dziejowej całej chrześcijańskiej Europy, proces, można wyrazić się, o skali kosmicznej.

Wielka rzeka płynie i płynie bez końca i otacza ziemię, ale zaczyna się w małem źródełku, koło krzaczka, pod kamykiem, w niegłębokim dołku, zaczyna się jako niewidoczny niemal wśród zieleni, ukryty w trawie ruczaik, jako z trudem szeleszczący potoczek, nie mający dość siły, by zepchnąć słomkę, która na przekór jemu wpoprzek przypadkiem się pokładzie—otóż można myśleć, że ten wielki, dziejowy proces rozpadania się europejskiej pańskości wziął tak samo początek swój z małego zaniedbania, małego przeoczenia jednego ważnego praktycznego zdania w Ewangelji Świętej (w której zresztą daleko więcej jest nacisku na sprawy nieziemskie), a mianowicie: oddajcie cesarzowi co cesarskie. Ale, powtarzamy, na należyte oświetlenie tych zagadnień niema tu miejsca i ujęcie ich tutaj jest tylko w swoim rodzaju propozycją, t. zn. proponujemy tylko myśleć, że chrześcijaństwo było zbyt idealne, niedość realne i trochę lekceważące sprawy ziemskie, sprawy cesarskie. Ale ziemia pozostała ziemią, człowiek od spraw ziemskich i ciężarów nie wyzwolił się, a uczyniła się z nich tylko jakaś wstydliwa, zdeklasowana dziedzina, która nie otrzymała jakgdyby moralnego poparcia zapatrzonych w zaświaty chrześcijan i tem samem rozwijała się w sposób dziki, nowotworowy. Tak więc naprzykład dziki materjalizm dzisiejszy jest to jakgdyby skutek nadmiernego trochę idealizmu średniowiecznego i jest to jakgdyby reakcja na niego. Kto się rozgrzeje zanadto, chętnie tarza się w śniegu. Materjalizm dzisiejszy może być zobrazowany jako nieślubne dziecko, którego wstydzono się i którego nie dopuszczano do należnej mu chociażby

[3]) Żeby uniknąć nieporozumienia trzeba podkreślić, że niepodobna uzyskać pańskości w sposób zewnętrzny przez silenie się na przepych. Wogóle przepychu dzisiaj być nie może, a tylko blichtr, czego oczywistem potwierdzeniem jest naprzykład wnętrze w ministerstwie spraw zagran. (ul. Wierzbowa), urządzane nakładem miljonów, a przypominające wnętrze jakiejś plutokratycznej spelunki, w modnym kurorcie. W dzisiejszej bezpańskiej epoce najmożliwsza forma bycia to największa skromność, o czem powinni pamiętać zwłaszcza dygnitarze. W związku z tem, że jedynie skromność jest dzisiaj w dobrym tonie, trzeba niestety zgodzić się i z prawdą, że niema dziś miejsca na sztukę, która zawsze mimo wszystko jest przepychem i ozdobą.

skromnej części, żyć mu nie dawano i znęcano się nad niem, a oto bękart ten rozrósłszy się pokryjomu bez niczyjej pomocy, nie czując dla nikogo wdzięczności, a tylko nienawiść, rozwścieczony niesprawiedliwością ze strony swej szlachetnie urodzonej braci, wpadł w szewską pasję, rzucił się na nią i odebrał jej nietylko to, co jemu się należy, ale i jej własne majątki, wygnał ją i próbuje panować niepodzielnie nad całem dziedzictwem. Zbyt idealne traktowanie ziemi może być też przyczyną upadków.

Tak więc może zdarzyć się, że ktoś staje się złodziejem nie dlatego, że zanadto kocha złoto, ale dlatego, że je kocha za słabo, bo taki często lekceważy posiadane przez siebie dobra, pozwala innym siebie okradać, a później z głodu sam kraść zaczyna. Podobnie i niepotrzebny flirt może wyniknąć nie z nadmiernej zmysłowości, a odwrotnie ze zbyt anielskiego traktowania kobiety (i siebie). Idealiści i obrońcy żydów są winowajcami pogromów.

Liberalizm i humanitaryzm jest to pozornie jakaś niby dobroć, a w rzeczywistości jest to dziecinna niepraktyczność. Przez to, że zlekceważono sprawy ziemskie i odwrócono się od nich, nie uznano ich zacności, nie nauczono się ich cenić. Wprawdzie jest zdanie: „są rzezańcy z łona matki, są rzezańcy uczynieni od ludzi, a są rzezańcy dla Królestwa Bożego” i prawdą jest, że zdanie to zaleca stan bezżenny, ale i Romeo ma rację i zachwyca nas ogrodu Capulettich atmosfera nocna rozpalona do czerwoności. Lepsze jest królestwo nie z tego świata, ale i tutejsze ma swój urok. Skromna jest uczta na ziemi, to prawda, ale dobrze jest człowiekowi, jeśli umie ją spożyć ze smakiem. Jeśli przypadkiem pochylisz głowę i opuścisz wzrok na swoją nagość, siedzibę swoich żądz i namiętności, nie patrz na nie z nienawiścią, ale raczej ze słodyczą, tak jak patrzy ktoś z góry, wychyliwszy się z okna pierwszego piętra na dół, na podwórko zarosłe kwiatami. A jeśli nawet ciało nasze jest djabłem i jest nieprzyjacielem naszym, to i z nieprzyjacielem bezpieczniej bywa spotykać się twarzą, a nie tyłem do niego się odwracać, bezpieczniej bywa czasami podejść do niego bliziutko, obłapić go i w ten sposób walczyć, choć to wygląda jak miłosne uściski.

Dużo jest książek, co zachwalają atmosferę ogrodu Capulettich, a ta jedna, czyli artykuł niniejszy pragnie pokazać, że i panowanie nad ludźmi po ziemsku też jest urodą i rozkoszą. Należałoby dziś o p t o w a ć na rzecz ziemi i dobrze byłoby znaleść w sobie moralne poparcie dla spraw ziemskich, moralnie uprawomocnić je, bo w przeciwnym razie i nadal panować (jeśli można tak wyrazić się o nich), nad nami będą ludzie z niższego gatunku, co wogóle nic poza ziemią nie mają, co wogóle dla swoich czynów żadnego moralnego uzasadnienia nie potrzebują i nie szukają, jednem słowem tacy ludzie, co są tylko do pasa— od ziemi do pasa, t. zn. ludzie z tych wspomnianych już przez nas mafij. Chodzi o to, żeby i ta gałąź Europy, co z niebem jest blisko, zarumieniła się życiem, dostała wypieków jak jabłko na słońcu i zechciała być ziemskimi cesarzami. Liberalizm zresztą to w swoim rodzaju oszustwo, bo i dzisiaj tak jak i dawniej panuje na świecie siła armaty. Liberalizm tylko odsuwa od władzy prawych panów, a oddaje rządy w ręce bękartów, czyli w ręce plutokracji, spekulantów, redaktorów gazet brukowych, demagogów, masonów i t. d. Dużo entuzjastycznych książek napisano o kibici Julji, a niniejsza zachwala czynność panowania nad ludźmi i nieodłączną od niej czynność chłostania podwładnych i próbuje skłonić ku temu, ośmielić ludzi szlachetnych. Jedno i drugie jest podobną rzeczą, podobną grą krwi, taką samą ziemską zmysłowością.

Bijący ma tę przyjemność, że wychodzą z niego demony, czy coś w tym rodzaju. Jeśli panujący nie zna się na rozkoszach panowania, to jest tak samo lichy jak i amant nie znający się na rzeczy. Amant, który nie umie znaleźć przyjemności, nie umie i dać jej, i tak samo panujący, który nie umie w panowaniu znaleźć przyjemności, nie może być pożyteczny. Mniejsza z tem co jest ważniejsze, a co jest mniej ważne, czy błogostan ogółu czy rozkosz panującego—nie byłoby też łatwo rozstrzygnąć, co jest ważniejsze, czy smak pokarmu, czy jego wartość odżywcza, ale tak samo jak według smaku najlepiej jest oceniać wartość pokarmu, tak też według tego, czy dobrze czy źle czuje się panujący, oceniać pożytek z jego panowania. Żeby być rzeźbiarzem, trzeba znać właściwości kamienia, bo inaczej trudno będzie wydobyć z niego kształt pożądany i rozkruszy się on w naszem ręku, albo zwali na nas i zadusi nas. Tak też i żeby być dobrym panującym, trzeba znać dobrze materjał, w którym się pracuje, to znaczy człowieka. Teoretycy liberalizmu pojęcia nie mają o tem, co to jest człowiek. Któregoś dnia trzy dziewczyny wracały z lasu z drzewem (zdaje się kradzionem) i dostrzegły swemi jastrzębiemi oczami gdzieś daleko, o pół kilometra chyba, poza zaroślami jakiegoś jegomościa w niezupełnie właściwej sytuacji. I oto jeśliby jakiś liberał był przy tem i słyszał ich okrzyki, okrzyki triumfalne, niby hordy tatarskiej, ich wrzaski, wycia, ryki, śmiechy, skowyty, piski, widział ich zarumienione z zachwytu twarze, to możeby i ocenił należycie materjał ludzki i jego wspaniałą bujność i obfitość, materjał pachnący nieomal żywicą jak i owe kradzione chojaki, i możeby wówczas odczuł i zrozumiał, że niepodobna nad człowiekiem panować bez rózgi, a jeśliby usiłował trafić człowiekowi do rozumu, trafić za pomocą swych wątpliwych książek i filozofji, byłby z pewnością równie śmieszny i równie ośmieszony jak i ów jegomość zza krzaków.

*

* *

Prawo ogólne tyczące się wszelkiego panowania na ziemi, gdziekolwiek ono jest i jakiekolwiek jest, jest następujące: żadne panowanie nie może obejść się bez boleści. Panowanie świeckie oparte jest na tem, że bije się podwładnych i ich krew się przelewa. A panowanie duchowe oparte jest na tem, że się umartwia samego siebie i własną krew się przelewa. Tak więc ten pan nad pany, ten tyran nad tyrany, ten wobec którego wszyscy monarchowie i samodzierżcy—to owieczki potulne, płochliwe, ten, który powiadał o sobie: „Jam jest światłość świata, Jam jest chleb żywota, Jam jest prawda i żywot i zmartwychwstanie, kto we mnie wierzy, choćby i umarł żyw będzie” — ten własną krew przelał, krew jak dynamit. A inni pomniejsi panowie przelewają krew cudzą.

LEON MACIAŃSKI

NA WIDOWNI

Nauka sprzed półtora wieku. — Rousseau i nacjonalizm. Wartości dawnego ustroju Rzplitej. — O właściwy stosunek do przeszłości.

NIE BEZ WZRUSZENIA odwracam kartki starej, w skórę oprawnej książczyny, o złoconych brzegach i takichże, sczerniałych nieco wyciskach na grzbiecie. (Jakiż urok, wykwintu i prostoty zarazem, posiadają te wydawnictwa z osiemnastego wieku!). Nabyty okazyjnie u antykwarza, tomik ten, w miarę zagłębiania się w jego treści, coraz to żywiej zaciekawia mnie, pociąga, skłania do refleksyj. Tytuł jego: „*Considerations sur le gouvernement de Pologne, et sur sa reformation, projettée par J. J. Rousseau — à Londres MCCC.LXXXII*" [1]).

Wiem, że nazwisko autora „Umowy społecznej" bardzo źle dźwięczy w uszach ludzi o narodowym sposobie myślenia. Gdy jako student, przed dziesięciu zgórą laty, pochłaniałem „*Le stupide XIX siécle*" Leona Daudet'a, pamiętam dobrze, jak pod wpływem tej lektury, osoba Russa wydała mi się ucieleśnieniem najbardziej złowróżbnych sił w dziejach. Pisarze z „*Action française*" decydowali w owej dobie o kształtowaniu się pojęć młodych nacjonalistów polskich o tych sprawach.

Dzisiaj, po trochu, inaczej już poczynam oceniać sens owych gromów. Ów „antynarodowiec" Rousseau był w rzeczywistości gorącym patrjotą w stosunku do swej małej ojczyzny: Kantonu Genewskiego. Z dumą dodawał na tytułowych kartach swoich książek obok nazwiska swego: „obywatel Genewy", — a ileż razy, choćby w owych „Uwagach nad rządem polskim", prawa szwajcarskie zalecał, jako wzór do naśladowania! Otóż tradycje te, urządzenia ludu góralskiego, jak również ideje polityczne z nich się wywodzące, były istotnie biegunowo sprzeczne z odwiecznemi zasadami ustrojowemi monarchji Kapetyngów. Uderzały w jej fundamenty i jest rzeczą zrozumiałą, że Francuz — tradycjonalista, spoglądał na ten z innej gleby wyrosły świat pojęć z nieufnością i obrzydzeniem. Dla nacjonalizmu francuskiego Rousseau jest niestrawny, ale dla nas, wobec polskich tradycyj prawno-państwowych, czemu właściwie duch swobód szwajcarskich miałby być bardziej obcy od... oświeconego absolutyzmu Burbonów?

Rousseau opracował swe „Uwagi" na prośbę przyjaciela, Michała Wielhorskiego, z bezinteresownej życzliwości dla Polski — w tym samym czasie, gdy racjonalistyczna filozofja epoki, w osobie Woltera, zdobywała się tylko na gratulacje dla Fryderyka i Katarzyny z okazji pierwszego rozbioru Rzplitej. Opracował je pod koniec życia, po latach doświadczeń i rozmyślań nad zagadnieniami „układu społecznego", tak, że książeczka ta jest ostatnim, najdoskonalszym bodaj wyrazem ideologji jego w tym zakresie. Oczywiście niemało w niej naiwności, doktryneryzmu, ale są spostrzeżenia i poglądy, które do dziś przykuwają myśl czytelnika trafnością i głębokością ujęcia sprawy. Ograniczę się do jednej cytaty zasadniczej:

„Poprawiajcie, o ile to możliwe, wady waszego ustroju, nie pomiatajcie nim jednak, dzięki niemu bowiem staliście się tem, czem jesteście".

Warto poważnie zastanowić się nad treścią tego zdania. Szkoła, popularna historjografja, publicystyka przyzwyczaiły nas do wydziwiania osobliwości ustrojowych dawnej Polski, przyzwyczaiły do mniemania, że tylko w ciemnej, bezmyślnej masie szlacheckiej urządzenia te mogły mieć zwolenników i wielbicieli. Jakże znamienne jest to uznanie dla ustroju dawnej Rzplitej ze strony cudzoziemca — i niewątpliwie jednego z najtęższych umysłów swojej epoki! I czy już nie czas dojść do przekonania, że — skoro taką miał opinję obcy— więc może i Polak, jeśli jak Stanisław Leszczyński w „Głosie wolnym", dążąc do reform, nie chciał podważać zasadniczych fundamentów „złotej wolności", to postępował tak nie tyle z lęku przed terrorem „motłochu szlacheckiego", ile z własnego, najszczerszego przeświadczenia i przywiązania?...

Naród normalny nie może żyć negacją tego wszystkiego, „dzięki czemu stał się tem, czem jest", co ukształtowało jego odrębność psychiczną, instynkty, obyczaje. Nie można myśleć o normalnem organizowaniu życia państwowego, gdy w tej dziedzinie najelementarniejsze pojęcia są zmącone.

Napół świadomie odczuliśmy tę prawdę, gdy w okresie wojny światowej, w przeddzień odzyskania niepodległego bytu, zaczął się u nas gorączkowy ruch w kierunku rewizji poglądów o przeszłości, odrzucenia pesymistycznych sądów „szkoły krakowskiej", ruch, którego najdobitniejszym wyrazem był słynny wówczas, w parę tygodni w kilku wydaniach rozchwytany „Duch dziejów Polski" Antoniego Chołoniewskiego. Wrażenie wywołane tą publikacją, sympatja powszechna, z jaką się spotkała, świadczyły wyraźnie jak dalece jej tendencja odpowiadała psychicznej potrzebie społeczeństwa.

Jednak rzecz zrobiona pośpiesznie, okazała się tandetna, przystosowana do jakże przebrzmiałych już dziś, nastrojów chwili... Dawna Rzeczpospolita w tem przedstawieniu wyglądała jak... urzeczywistnienie ideałów prezydenta Wilsona! Wzięto się do apologji starej Polski, zanim zdążono zżyć się z nią naprawdę, poznać ją, przeniknąć, zrozumieć. Czasy niewoli zresztą utrudniały niesłychanie jakiekolwiek konkretne wyobrażenie w tym względzie: zbyt odmienna była rzeczywistość, w której się żyło, by poprzez nią można było ujrzeć prawdziwy, nie zdeformowany obraz wieków minionych.

To też dziś droga przed nami jest wytknięta. Należy przedewszystkiem zbliżyć się do przeszłości, wczuć się w jej atmosferę, poznawać ją bez jakiegolwiek doktrynerstwa, z prostotą, z synowskiem umiłowaniem. Wówczas najlepiej zaczniemy się orjentować, co w niej nam bliskie, czego czujemy się dziedzicami, a w każdym razie, poprawiając to, co należy, w żadnym wypadku nie odważymy się „pomiatać", — tem co sprawiło, że „jesteśmy czem jesteśmy"...

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Memorjał Jana Jakuba Rousseau o naprawie ustroju Rzplitej, napisany w r. 1772 na prośbę Michała Wielhorskiego, drukowany po raz pierwszy po śmierci autora, w r. 1782 w Londynie. Przed kilkunastu laty ukazał się polski przekład, dokonany przez d-ra Tadeusza Nieduszyńskiego p. t. „Uwagi nad rządem polskim", z przedmową St. Wasylewskiego (Lwów, nakładem H. Altenberga, str. 112).

GŁOSY

„GAZETA POLSKA" JEDEN Z ARTYKUŁÓW POŚWIĘCONYCH MOTORYZACJI KRAJU opatrzyła następującym komentarzem:

„Drukowaliśmy ostatnio szereg artykułów dyskusyjnych na temat t. zw. „polityki motoryzacyjnej". Myślą wspólną tych artykułów jest, że takiej polityki—w ścisłem słowa rozumieniu—nie mamy, natomiast czyni się szereg różnych posunięć, które w sumie nazywać trzeba polityką demotoryzacyjną, skoro powodują one spadek ilości pracujących motorów".

„Mały Dziennik" znalazł kiedyś termin lepszy — „furmankizacja". Jest w tym terminie sporo wisielczego humoru. Na inny nas w tym wypadku nie stać, bo sprawa jest ważna. Ważna i pilna. „Słowo Pomorskie" snując refleksje na temat włoskiego zwycięstwa, pisało:

„dzięki jedności narodu z rządem, jedności wytworzonej przez ideę narodową — naród włoski w potężnym planowym wysiłku przezwyciężył swoje przysłowiowe już niemal dziadostwo. Umiał pokonać brak surowców podstawowych, potrafił zapobiec niedoborowi żywności, uporządkować finanse państwa i wygrać przedsięwzięcie zbrojne, które—tak się radowali przedwcześnie wrogowie Włoch — miało być grobem dla Mussoliniego i jego faszyzmu".

„Przykład włoski pokazuje, jak to tworzyć można wielkie dzieła nawet bez złota, jeżeli się ma wielką, rozpalającą umysły mas ideę i potężną wolę. Widzimy to zresztą nietylko na przykładzie włoskim. Podobne rezultaty osiągają dzisiejsze Niemcy, zmobilizowane ideą narodowo-socjalistyczną".

„Kurjer Polski", omawiając włoskie hasło „uzbrojenia dynamicznego", tłumaczy:

„W płaszczyźnie materjalnej, wyrazem „dynamiki" w zbrojeniu ma być przedewszystkiem wielki postęp motoryzacji: „Nowa doktryna, orjentująca się przedewszystkiem w kierunku wojny ruchomej, odpowiada naszej dynamicznej, faszystowskiej mentalności, naszym politycznym, wojskowym i gospodarczym koniecznościom". Oto jest hasło nowej strategji włoskiej, któremu dał wyraz niedawno gen. Baistrocchi".

„Warszawski Dziennik Narodowy" przypominał:

„Na tem tle olbrzymich i wszechstronnych wysiłków, zmierzających do powiększenia, wyposażenia i zmodernizowania sił zbrojnych, Polska przedstawia od pewnego czasu—wyjątek. Nasz budżet wojskowy — jest nad wyraz skromny, praca kraju na rzecz obrony narodowej bardzo niedostateczna, a modernizacja armji wlecze się jak po grudzie".

Tytuł artykułu: „Czas nagli". „Polska Zbrojna" słusznie zaznaczała:

... „być silnym — jak już wielokrotnie na tem miejscu wykazywaliśmy i jak wielokrotnie jeszcze wykazywać będziemy—znaczy to nietylko posiadać silną armję. W dzisiejszych warunkach mechanizacji wojny — należyte do niej przygotowanie wymaga zorganizowania całości życia gospodarczego pod kątem widzenia obrony kraju; stworzenia warunków, w których istniejące siły wytwórcze okażą się instrumentem, odpowiadającym swemi rozmiarami i swą jakością tym potrzebom, jakie wiążą się z wojną nowoczesną".

Mamy nadzieję, że stan naszej gotowości obronnej ulegnie poprawie. Ale nie wystarczy skierowanie uwagi na przemysł uzbrajający bezpośrednio armję. „Polska Zbrojna" miała rację—należy zorganizować całość życia gospodarczego. Nie wystarczy—wiemy to dobrze—wytworznie takiej a takiej liczby wozów pancernych. Trzeba, ażeby z dróg naszych znikły pudła autobusowe, ciągnięte mozolnie przez zdechłe szkapy. Armję nietylko stanowi trzysta tysięcy żołnierzy, znajdujących się aktualnie pod bronią, ale również i rezerwa i pospolite ruszenie. Należy pomyśleć o rezerwie i pospolitem ruszeniu motorów. A to już problem owej całości. Bez rozwiązania go, ani rusz...

O HANDEL DEWOCJONALIAMI

SYMBOLEM wiary chrześcijańskiej i zewnętrznym jej znakiem jest krzyż, jako znak zbawczej śmierci Chrystusa Pana, ale zarazem i dowód okrucieństwa żydów.

W świecie chrześcijańskim krzyż zdobi nietylko świątynie, ale i piersi bohaterów, jest nietylko drogowskazem dla chrześcijanina w życiu, ale i nadzieją na lepszą przyszłość po śmierci. Krzyż stygnącemi rękami przyciska do ust umierający. Krzyż, koronkę czy obrazek świętych dajemy do trumny zmarłemu, jako nadzieję i ufność w miłosierdzie Boże, przez zasługi Jezusa Chrystusa.

Bolesne jednak jest pomyśleć, że w Polsce te krzyżyki, koronki czy różańce, medaliki i obrazki w 80% do 100% wyrabiają i sprzedają żydzi. Potomkowie tych, którzy wołali „ukrzyżuj! ukrzyżuj Go!", „Krew Jego na nas i na synów naszych", którzy Judaszowi dali 30 srebrników za zdradę Jezusa, ciągną za te srebrniki haniebny procent od polskiego ludu, bo około 60—80 milj. zł. za dewocjonalia.

W Warszawie na Nalewkach roi się wprost od wytwórni dewocjonaliów. Niektóre z nich dostarczają tego materjału na całą Polskę. Przed niektóremi czekają w kolejce kramarze, sklepikarze katoliccy, i zakupiwszy u żydów krzyżyki, medaliki, różańce, książeczki do nabożeństwa, obrazki i obrazy, rozwożą je po miejscach odpustowych, sprzedają w budkach kościelnych itp.

Wskutek lichego i tandetnego wyrobu towar żydowski jest tańszy, to też zalewa całą Polskę, wywożą go żydzi masowo, całemi pakami do Ameryki, do kolonij polskich, jako drogie pamiątki z ojczystego kraju. Naturalnie przedmioty te niszczą się prędko, pobożny zaś lud zaopatruje się w nie masowo i żydzi się bogacą, a chrześcijańskie wytwórnie wegetują w zastoju lub ulegają zamknięciu, nie mogąc wytrzymać niezdrowej konkurencji, zwłaszcza że żydzi jako wsparcie, a raczej dla całkowitego zagarnięcia w swe ręce polskiego handlu i rzemiosła, otrzymują od finansistów światowego żydostwa setki miljonów, a nadto i zasiłki po 500,000 zł. rocznie z Banku Gospodarstwa Krajowego, dla bezprocentowych kas pożyczkowych, których w Polsce działa już 721[1]). Powstały one w r. 1928. Polskie zaś powstały w r. 1933 i jest ich zaledwie 52.

Na niekorzyść wytwórni polskich w konkurencji z żydowskiemi działają jeszcze podatki i ob-

---

[1]) „Wiadomości statystyczne" 1935 nr. 4. Luty.

ciążenia socjalne, które żydzi obchodzą, pracując w ukryciu lub jako zespół rodzinny, a sprzedaż odbywa się często w mieszkaniu prywatnem.

Ustawodawstwo rosyjskie zabraniało najsurowiej żydom zajmować się wytwórczością czy sprzedażą przedmiotów kultu religii chrześcijańskiej. Tymczasem do opracowań ustawodawstwa polskiego w imię tolerancji i postępu dopuszczeni żydzi w ten sposób wszystkie ustawy opracowali, że w wolnej Polsce w ciągu niespełna 18 lat żydostwo tak dalece wcisnęło się do wszystkich dziedzin życia politycznego, społecznego i gospodarczego, że nawet Polakom-katolikom dostarcza przedmiotów ich kultu religijnego.

Pominąwszy, że to jest poprostu ohydne, żeby żyd dostarczał wina mszalnego lub materjałów liturgicznych i krzyżów, albo dostarczał krzyżów na trumny, ubrań pośmiertnych i krzyżów na nagrobki, czy też oliwy do lamp wiecznych w kościołach [2]), czy fabrykował przedmioty kultu religijnego, ale jest to przecież krzyczącą niesprawiedliwością, by Polacy na polskiej ziemi ginęli z głodu i marnieli w bezrobociu, bo żydzi wyparli ich z handlu, przemysłu i rzemiosła do tego stopnia, że wytwarzają im i sprzedają nawet przedmioty kultu religijnego.

Wobec głoszonej jako dogmat równości prawa i tolerancji, przy których pomocy, jakby pod osłoną dymową, żydzi opanowują Polskę, pytam się, coby się stało z Polakiem, gdyby tak zaczął wyrabiać przedmioty kultu żydowskiego, jak „*tałesy*", „*tefilin*", „*cicith*", „*mezuzy*" i gdyby z niemi rozłożył swój stragan koło bóżnicy.

Napewno całoby nie wyszedł, a gwałtu i krzyku byłoby w świecie nie mało. Zjazdy rabinów, delegacje, demonstracje—nie miałyby końca.

Przebiegli żydzi zawarowali sobie w swoim kodeksie religijno-prawnym (w *Szulchan aruchu*) wyłączność posiadania, sporządzania i sprzedawania przedmiotów swojego kultu religijnego, o których powiedziano: „Nie można *tałesu* (*talit*) nieżydowi ani sprzedawać, ani w zastaw dawać; mógłby żyd goja *tałesem* obwinąć spotkawszy go na drodze, uważać go za żyda i w następstwie mógłby być przez niego zabity". (Heinrich Löwe sen., *Schulchan Aruch, oder die vier jüdischen Gesetzbücher I. B. Wien* 1896. *Orach chaim* 11 — 25, S. 11).

„*Cicit*" (sznureczki z węzełkami) sporządzone przez goja, jak mówi Majmonides, nie jest ważne. (*Orach chaim* 11. Cfr. Löwe S. 10).

„*Tefilin*" t. j. czarna szkatułka ze skóry, przywiązywana rzemieniami do ramienia i na czole, zawierająca wypowiedzenia z Pisma Św., należy do przedmiotów kultu. Otóż, jeśli te wypowiedzenia „pisał *apikauros* (wolnomyśliciel, oznacza to również i chrześcijanina), który nie wierzy w Talmud, musi (takie *tefilin*) być spalone albo schowane. Jeśli się znajdzie u takich (ludzi) *tefilin* i nie wie się, kto je pisał, to musi się je schować. Powinno się *tefilin*, *mezuzę* albo żydowskie książki, które się znajdują w rękach nie żydów, niezanadto ponad ich wartość płacić, aby ich przez to nie zachęcić, by takowe wykradali albo rabowali". (*Orach chaim* 26—46. Cfr. Löwe S. 13).

„Według „*Schemoth rabba Parascha*" 22 fol 28 art. I, także Pan Bóg jest przyodziany w *tałes* i *cicit* i przyodział tem Mojżesza, aby aniołowie nie mogli mu żadnej przykrości zrobić". (*Orach chaim* 11—25 Cfr. Löwe S. 10).

A zatem przedstawia się tu Pana Boga po żydowsku, jak żyda, z przedmiotami żydowskiego kultu religijnego.

Tymczasem chrześcijańskie przedmioty kultu religijnego przedstawia się jako bałwochwalcze, mówiąc o obrazach bożków zalicza się do tego i chrześcijańskie obrazy, jak mówi Löwe: „mowa tu, jak i wszędzie o chrześcijanach". (*Schulchan Aruch., Jore dea.* Cfr. Löwe S. 213).

Wogóle „żydzi uważają nie żydów za bałwochwalców, szczególniej katolików, ponieważ jakoby ich księża co roku poświęcają wino, z którego następnie wlewa się cokolwiek we wszystkie naczynia. Żydzi unikają (picia) wina nieżydowskiego, ponieważ wierzą, że przez nie uprawia się bałwochwalstwo, np. rozdawanie Komunji, dlatego nie mogą nieżydzi nawet dotknąć wina żydowskiego, ponieważ sądzą, że nieżyd mógłby przy dotknięciu ich wina mieć na myśli, użyć cokolwiek z tego wina do swojej służby Bożej. Dlatego muszą sami swoje wino wytłaczać i przygotowywać". (*Schulchan Aruch. Jore dea* 123. O winie nieżydowskiem Cfr. Löwe *I. B. S.* 207 f.)

„Wizerunek krzyża, przed którym zginają się nieżydzi, jest tak jak obraz bożka i jest zakazany o ile nie jest sprofanowany". (*Schulchan Aruch. Jore dea* 139—158 Cfr. Löwe *I. B. S.* 213).

To też prawo żydowskie zakazuje najsurowiej zajmować się temi przedmiotami do tego nawet stopnia, że głosi, iż: „Nie można żadnego handlu prowadzić z żydem, który jedzie na jarmark, gdzie się sprzedaje obrazy bożków i to co do tego należy, bo mogło by być, że on sprzedawał obrazy bożków, a pieniądze za nie wzięte są zakazane". (*Szulchan Aruch. Jore dea* 139—158 Cfr. Löwe S. 218).

„Rzeczy które należą do obrazu bożka i do tego są potrzebne, nie może żaden żyd sprzedawać". (*Jore dea* 151 Cfr. Löwe S. 219).

A zatem tak ze względu na poszanowanie uczuć religijnych chrześcijan, jak i ze względu na wyraźny zakaz religijno-prawny żydowski, nie wolno żydom zajmować się ani wytwórczością, ani sprzedażą przedmiotów chrześcijańskiego kultu religijnego.

Pomijając już to, że chrześcijan porównuje się tu z poganami, bo zresztą obelżywa nazwa „goj" oznacza właściwie poganina, powinien cały naród polski wystąpić jaknajstanowczej z żądaniem wprowadzenia prawa, zakazującego najsurowiej żydom zajmować się wyrobem czy handlem dewocjonaljów i wogóle przedmiotów kultu religijnego. Znalezione u żydów te przedmioty powinno się spalić, a narzędzia służące do ich wyrobu skonfiskować.

Zanim jednak to prawo będzie wydane, ze wszystkich ambon w Polsce powinno się głosić, że kapłani nie będą poświęcać, ani nadawać odpustów na dewocjonalia, pochodzące z wytwórni, czy z hurtowni żydowskich. Chociażby zatem przedmiot jakiś znajdował się wśród innych poświęcanych, to to poświęcenie jego będzie nieważne, nie będzie wcale poświęcony.

[2]) „Samodzielność", Kraków z 15 lipca 1936 r. str. 58: „Podajemy do wiadomości, że firma Käfer, skład materjałów liturgicznych, ul. Starowiślna nr. 50, jest żydowska".

Ponieważ jednak wierni nie mogą zbadać pochodzenia tych przedmiotów, które zakupują u żydów kramarze i sklepikarze, dlatego rządca kościoła powinien wyznaczyć miejsce przed kościołem dla straganów z dewocjonaliami, wydawać zaś pozwolenie tylko ludziom uczciwym i godnym zaufania, którzy się wykażą, że towar nabyli w wytwórniach chrześcijańskich.

Roztaczając kontrolę nad sprzedażą dewocjonaliów i dając zaświadczenia handlarzom, należy wiernym wyjaśnić, że tylko u posiadających takie zaświadczenia, umieszczone na widocznem miejscu i u należących do „Związku dewocjonalistów" można nabywać dewocjonalia, bo tylko takie są ważne i tylko takie będą poświęcane i tylko na takie będzie się nadawać odpusty.

Powstałe w Warszawie „Zjednoczenie katolickie pod wezwaniem Królowej Korony Polskiej" ma na celu akcję tę przeprowadzić.

O wzniosłości i słuszności tych zamierzeń nie potrzeba nikogo przekonywać.

Potrzeba jednak, by cały naród polski, a przedewszystkiem całe duchowieństwo akcję tę najgoręcej poparło.

Niech idea odżydzenia handlu dewocjonaliami znajdzie apostołów we wszystkich warstwach społecznych, zapali dusze do szczytnej miłości wszystkiego, co dotyczy Chrystusa Pana i Jego Najświętszej Matki.

Niech ta idea połączy społeczeństwo polskie do wytrwałej i znojnej pracy nad spolszczeniem Polski przez spolszczenie miast przy pomocy spolszczenia rzemiosła, spolszczenia handlu i spolszczenia przemysłu.

Przedewszystkiem jednak należy rozpocząć od spolszczenia mentalności Polaków.

Wtedy dopiero Polakom w Polsce dobrze będzie.

X. Dr. STANISŁAW TRZECIAK

NAUKA i LITERATURA

SUROWCE I WOJNA

PRZYGOTOWANIE gospodarcze państwa na wypadek wojny jest obecnie zagadnieniem równie ważnem, jak przygotowanie siły zbrojnej. Nasze gospodarstwo narodowe nie jest przygotowane do wojny. Nawet nasza literatura naukowa na ten temat jest niezwykle uboga. W porównaniu ze stosunkami u naszych sąsiadów ze wschodu i zachodu budzi to refleksje zgoła niewesołe.

Wydana przed paroma miesiącami praca p. Stanisława Gryziewicza: „Problem zaopatrzenia surowcowego Polski ze stanowiska interesów obrony Państwa" (Warszawa 1936) jest poświęcona — jak wynika z tytułu — zagadnieniu kluczowemu dla sprawy przygotowania całości gospodarstwa narodowego do wojny.

W pierwszej części omawia autor pokrótce rozmieszczenie i władanie podstawowemi surowcami w świecie. Liczne tablice statystyczne pozwalają na wszechstronne zorjentowanie się w rozwoju produkcji najważniejszych surowców i w rozmieszczaniu ich. Znajdujemy tu również krótką charakterystykę wyposażenia wielkich mocarstw w surowce w stosunku do zapotrzebowania w wypadku wojny.

Druga część pracy poświęcona jest kwestji zaopatrzenia surowcowego Polski. W konkluzji autor stwierdza: „Jeśli uwzględnimy położenie geograficzne Polski i stosunek tego położenia do źródeł podstawowych surowców w świecie, których Polsce jest brak, fakt, iż połączenie Polski ze źródłami tych surowców biegnie przez morza zamknięte, jakiem jest morze Bałtyckie (względnie Czarne), oraz rozmiary naszych braków surowcowych, to dojdziemy do wniosku, iż zagadnienia zaopatrzenia surowcowego Polski na wypadek wojny są bardzo rozległe. Jeśli, w dodatku, uwzględnimy, wychodząc z obecnego stanu rzeczy, te duże niedociągnięcia, które mogą istnieć w sprawnem funkcjonowaniu podczas wojny zaopatrzenia w te surowce, które posiadamy w dostatecznej ilości, to wniosek nasz o istnieniu bardzo poważnego i trudnego zagadnienia zaopatrzenia surowcowego na wypadek konfliktu zbrojnego będzie tem słuszniejszy. Istnienie więc tego zagadnienia, o tym charakterze, wymaga stałych pogłębionych studjów i szerokich, celowych i programowych prac przygotowawczych". O prowadzeniu ich jakoś nic nie słychać...

Po omówieniu w trzeciej części pracy metod przygotowania gospodarczego do wojny i przedstawiwszy przykład gospodarki Niemiec oraz Włoch w czasie Wielkiej Wojny, w ostatniej części kreśli p. Gryziewicz granice problemu. Dochodzi przytem do wniosku, że „niema bodaj dziedziny, gdzie moglibyśmy ze spokojem przyznać, iż nasze zaopatrzenie surowcowe przedstawia się całkowicie korzystnie. Niema bodaj dziedziny, gdzie przed działalnością zmierzającą do rozwiązania poruszonego problemu, nie leżałby ogrom badań, poszukiwań, wysiłków i zadań do realizacji".

Prace te powinny być już rozpoczęte „*zgodnie z zasadą, iż maksimum przygotowania surowcowego na wypadek wojny, musi być dokonane podczas pokoju i że sprawy, które mogą być załatwione jutro—należy załatwić dziś*".

Każdy, kto interesuje się zagadnieniem przygotowania Polski na wypadek wojny, powinien przeczytać tę ciekawą i rzeczową pracę.

Ktoby chciał swoje wiadomości z tego zakresu pogłębić, znajdzie tam krótki spis literatury przedmiotu.

J. M.

PRZYTYK

UKAZAŁA się broszura w opracowaniu Stefana Niebudka [1]), ukazująca przebieg procesu o zajścia przytyckie, w których poległ ś. p. Stanisław Wieśniak, chłop małorolny, w handlu szukający zarobku celem utrzymania siebie i swojej rodziny. Słusznie więc pisze we wstępie autor opracowania, że „...symboliczna sprawa Przytyka, czyli walka o prawo do godziwego bytu materjalnego szerokich mas Narodu polskiego, a przedewszystkiem chłopa polskiego, walka o stragan w małem miasteczku trwa i niewątpliwie trwać będzie aż do pełnego zwycięstwa zasady, że Naród polski jest gospodarzem w Państwie polskiem". A obok tych słów *motto*, wielce wymowny wyjątek z aktu oskarżenia: „Miasteczko Przytyk, położone w powiecie radomskim. a liczące 3000 ludności, w czem prawie 90% żydów"...

Stefan Niebudek był jednym z obrońców oskarżonych Polaków a jednocześnie pełnił funkcję sprawozdawcy sądowego „Warszawskiego Dziennika Narodowego". Sprawozdania te złożyły się na całość broszury, uległszy przystosowaniu do nowej formy. Oczywiście zmian tyczących się merytorycznej strony procesu nie poczyniono — skondensowano tylko wszystko i w sposób umiejętny a niedopuszczający najmniejszego fałszu zredagowano.

Autor, zda się, był najbardziej predestynowany do powyższego opracowania, nie tylko ze względu na umiejęt-

[1]) Stefan Niebudek: „Przytyk, wielki proces Polaków z żydami". Nakładem czasopisma „Sprawa Narodowa" str. 64.

ność podania przebiegu długiego i skomplikowanego procesu (pochłonął on — jak nas informuje broszura — 18 posiedzeń sądowych, ławę oskarżonych zasiadło 57 osób, występowało 30 adwokatów a przez sąd przewinęło się około 400 świadków) w przystępnej i popularnej formie, ale i z tego powodu, iż sam należy do tych, którzy do pędu ludności polskiej ku straganowi wielką przypisują wagę. Podobnie zresztą pojmują sprawę sami żydzi, stwierdzając, iż — jak wyraził się jeden z czołowych przedstawicieli żydostwa — „nobilitacja“ straganu w społeczeństwie polskiem już istnieje, a jej przejawem były zajścia w Przytyku i proces sądowy „...który po raz pierwszy publicznie, na wielką skalę zajął się zagadnieniem żydowskiem w Polsce“.

Pierwszy nakład broszury, pisanej z pasją człowieka walczącego i niekryjącej politycznej tendencji, rozszedł się w przeciągu dni kilkunastu. Obecnie jest już w sprzedaży nakład drugi. Zaznaczyć należy, że część dochodu ze sprzedaży przeznaczona jest na rodzinę ś. p. Stanisława Wieśniaka, który zostawił żonę i pięcioro dzieci na jednej mordze ziemi. Słusznie więc zaznaczono na str. 5-ej, że „...kiedy z całej Polski płyną pieniądze dla żydów przytyckich i inne ofiary, jak np. ostatnio zakupiono im kilkadziesiąt krów, to społeczeństwo polskie musi nie mniej — mimo ciężkich warunków — wspomóc swych braci w Przytyku, a przedewszystkiem rodzinę ś. p. Wieśniaka“. Jak wiemy, dotychczas, w stosunku do potrzeby, nie wiele uczyniono... Możeby więc o tem naprawdę pomyśleć.

Broszurę wydano nakładem spółdzielni „Sprawa“.

(B)

RUCH WYDAWNICZY

Miłosz Gembarzewski „Wilanów”. Poemat dramatyczny. Hoesick, 1936. Str. 301.

„Wilanów” jest bardzo słabym utworem, zarówno pod względem formalnym, jak wewnętrznym. Te 3 akty z epilogiem czytają się trudniej, niż najnudniejszą powieść. Jeśli to ma być utwór dramatyczny, to niema on żadnej budowy, bo to, co nadaje pozory akcji, akcją nie jest. Intrygi o tron polski na dworach monarchów, zarówno jak przedstawienia wewnętrznych polskich walk, są bardzo wątłą tkaniną, po której się snują połamane djalogi. Postaci poza wyraźnemi tytułami, *in extenso* przytoczonemi, nie mają żadnej własnej fizjognomji, środki charakteryzowania ich przez mowę są ubogie i ograniczają się do powtarzania tego samego wyrazu lub zwrotu. Kozacy mówią jak niegdyś romantyczna Ukraina Słowackiego czy „Zamku kaniowskiego”. Monarchowie europejscy są groteskowi w uproszczonej charakterystyce, jak Piotr I lub Ludwik XIV.

Ideologiczne założenia książki takie zbyt wyraźne nie są. Czy to ma być apoteoza monarchji czy silnej władzy wogóle, dyktatury, czy też wolności (szlacheckiej, nie magnackiej)? Król jest bohaterem, ale załamuje się z winy polskich waśni wewnętrznych. Wszystkie zdarzenia i charakterystyki są nieumotywowane wewnętrznie. Niema tu mowy o logice dzieła, o konstrukcji. Konflikty poszczególnych stronnictw nie mają swej linji rozwojowej, rola osób intrygujących zaznaczona słabo. Nic się na scenie nie dzieje, mimo paru kłótni i bójek, mających tworzyć akcję.

Autor przeczytał źródła historyczne, lecz nie umiał ich ożywić ani oddać ducha czasu.

Wiersz Gembarzewskiego jest sztuczny, archaizacja organicznie nie zrośnięta z językiem, słowa cudzoziemskie lub staropolskie wstawione najczęściej niefortunnie. Momenty poetycznych opisów giną w zawiłościach składniowych. (ST. R.)

ZMARLI

CHARLES BENOIST

TYDZIEŃ temu zmarł, przeżywszy 76 lat, Ch. Benoist, członek Akademji nauk moralnych i politycznych, wybitny pisarz, parlamentarzysta i dyplomata francuski. Gruntownie wykształcony i obdarzony dużym krytycyzmem, poddawał surowej krytyce ustrój polityczny Trzeciej Republiki, a zwłaszcza jej rządy parlamentarne oraz system wyborczy. W zwięzłej i trafnej formule określił Benoist charakter rządów Francji demokratycznej. („Sztuka mianowania byle kogo, byle gdzie, aby robić byle co”).

Od najwcześniejszych lat swej działalności publicystycznej współpracował Benoist w „*Le Temps*“ i w „*Revue des deux mondes*“, a ostatnich parę lat w pismach monarchistycznych. Pozostawił szereg prac, cenionych przez fachowców. Oto niektóre: „*Essaie historiques sur le XIV siècle*”; „*L'Etat et l'Eglise*”; „*Les lois de la politique française*” i t. p. wreszcie dwutomowe dzieło o Machiawelu i machiawelizmie. Był zmarły przez kilkanaście lat deputowanym Paryża, od 1920—1924 r. pozostawał w służbie dyplomatycznej na stanowisku posła w Hadze, następnie przez parę lat był wychowawcą hrabiego Paryża. Prawy charakter oraz niezależność zdania zjednały mu szacunek przeciwników. (W. J.)

W ROZMÓWNICY

Od jednego z czytelników „Myśli Nar.“ otrzymujemy następujące słuszne uwagi:

ILUŻ TO WARSZAWIAN w dniu 14 i 15 sierpnia obraziło się na restauratorów. Nie pomogły żadne tłumaczenia że obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu, że przekroczenie tego zakazu grozi restauratorom karami kilkuset złotych. Wielu bywalców restauracyjnych prosiło, molestowało, groziło, złorzeczyło.

Restaurator powinien powiedzieć:

— Obywatele żądni wódki! W imię czego chcecie łamać rozporządzenia władz administracyjnych? Przecież prohibicja na dzień 14 i 15 sierpnia w obliczu spodziewanych zgromadzeń publicznych niewątpliwie jest słuszna i z dobrem ogólnem w niczem się nie kłóci. Wobec tego każdy uczciwy obywatel nie ma najmniejszych podstaw do sprzeciwiania się zarządzeniom.

Nie jest etycznie nakłaniać restauratorów do łamania słuszuych zarządzeń. Niegodne też przyzwoitego człowieka jest demoralizowanie obsługi restauracyjnej namowami, aby pokryjomu przynosiła gościom zabroniony alkohol w filiżankach czy też w szlaneczkach do wody sodowej. Tak mężczyzna szanujący choćby w skromnym stopniu swą pozycję społeczną postępować nie powinien. To jest godne trutnia społecznego, człowieka pozbawionego zdrowych instynktów gromadzkich.

Żaden restaurator, o ile wiemy, nie występował z perswazją. Atmosfera nie nadawała się tego.

Wśród motłochu, niezadowolonego z rozporządzenia prohibicyjnego, było wielu ludzi, którzy dobrze myślą o sobie i o swojej pożytecznej roli w społeczeństwie. Czyż nie rozumieli oni, że w dniach 14 i 15 sierpnia wyglądaliby przy wódce jak błazny?

WACŁAW DR.

NOWE KSIĄŻKI

Wojciechowski Zygmunt. Jeszcze o Mieszku I. Toruń 1936. Tow. Nauk. s. 24.

Ignaszewski Janusz. Polski rynek żelaza w r. 1935, Katowice 1936. S. 20.

POKŁOSIE

LAIK O OLIMPJADZIE

NIE BYŁEM nigdy spogtowcem, a muszę się nawet przyznać, że zwykła gimnastyka bardzo mnie nudziła i studencki „Sokół” nie miał ze mnie nigdy prawdziwej pociechy. Byłem natomiast zawsze nader pilnym czytelnikiem gazet i pamięć mam bardzo dobrą, zachowując wyraźnie drobne nawet wydarzenia z przeszłości. Otóż w pamięci mej nie zostało ani śladu, żadnego najlżejszego nawet wspomnienia o pierwszej Olimpjadzie, która, jak się teraz dowiedziałem, odbyła się w r. 1896 w Atenach, ani też o następnej w r. 1900. A gdybym go posiadał, to gotów bym był ofiarować konia z rzędem temu z mojej generacji, kto coś o tych pierwszych Olimpjadach wie i pamięta. Byłem wtedy studentem i przebywałem zagranicą, w Szwajcarji i Niemczech. Z tej absolutnej pustki w mej pamięci wyciągam jedynie tylko możliwy wniosek, że prasa ówczesna bardzo mało tym wydarzeniom poświęcała uwagi i nie suggestjonowała mas jeszcze w tym stopniu, jak się to dziś dzieje.

W następnym terminie, w r. 1904, mieliśmy oczywiście inne zmartwienia. Był to rok wojny rosyjsko-japońskiej, gazety chwytało się wtedy łapczywie, ale szukało w nich czego innego, niż wiadomości sportowych. W dziennikach zagranicznych główną uwagę przykuwały czarne plamy cenzury, a wiadomości techniczne zużytkowywane były na bezskuteczne zresztą przeważnie próby zmycia tych plam. Cenzura była mądra i zasmarowywała niewygodne wiadomości tą samą farbą drukarską, tak że ocalenie tekstu przy zmywaniu wisiało na słabej tylko niteczce nieco większej odporności druku, jako starszego i lepiej wysuszonego.

Mniejsza zresztą z tem. Wracając do rzeczy stwierdzić muszę, że jakieś niejasne zresztą wspomnienia o zawodach olimpijskich tułają mi się w pamięci dopiero z okresu już blisko poprzedzającego wielką wojnę. Czyżby z tego wynikało, że troska o fizyczny rozwój jest tak niedawnego pochodzenia? Oczywiście nie. Nawet u nas mieliśmy przecież już oddawna liczne organizacje, zajmujące się wychowaniem fizycznem, a zagranicą w tej samej Szwajcarji i w Niemczech kulturze fizycznej poświęcano przecież bardzo wiele uwagi i to z doskonałym wynikiem. W każdej najmniejszej nawet gminie istniały towarzystwa gimnastyczne, posiadające budynki, przyrządy i place. Ale to wszystko miało inny charakter i stawiało sobie inne cele niż dzisiejszy sport.

Celem było polepszenie sprawności fizycznej ogółu, nie zaś hodowla asów zdolnych do ustanawiania „rekordów” (termin wówczas nieznany). I w tym kierunku prowadzone były prace i organizowane pokazy, czy też nawet zawody. Rekordy można było wówczas znaleźć raczej w cyrkach. Predominację współzawodnictwa, wydobywanie wszelkiemi sposobami szczytowych wyników u jednostek wprowadzili anglo-sasi i jak mi się zdaje, główną rolę odegrali tu jankesi. Odpowiada to ich usposobieniu i temperamentowi, a rozdmuchane zostało niewątpliwie przez prasę, o której wiadomo dziś, że zawdzięcza swe milionowe nakłady nie zamiłowaniu do lektury w masach, lecz właśnie zainteresowaniom sportowym (i związanej z niemi grze), jakie w tych masach dzienniki zdołały rozbudzić i utrzymać.

Czy to jest kierunek właściwy, można wątpić. Hoduje się w ten sposób dużym wysiłkiem i nakładem środków rośliny cieplarniane, które przecież swych właściwości nie przekażą nikomu, a ze względu na liczebną nikłość nie zaważą same na fizycznym stanie społeczeństwa. Z terminem „atleta” łączy się przecież w umysłach naszych wyobrażenie człowieka tęgiego, krzepkiego, odpornego, co się nazywa „*robuste*”. A widzimy gromadkę młodzieńców, pozostających stale pod opieku lekarza specjalisty, owijanych aż do chwili próby w koce, aby w pewnym momencie, zmusiwszy podcinany nieustannie system nerwowy do nadzwyczajnego wysiłku (bo że się ustanawia rekordy głównie nerwami, to chyba nie ulega wątpliwości), znów zawinąć się w koc, zejść ze sceny po paru latach i kończyć żywot jako człowiek chorowity z nadszarpniętym organizmem.

Wszyscy mamy naturalny i zdrowy pociąg do pięknie rozwiniętego i doskonale funkcjonującego ciała. Poczucie siły i sprawności zaspokaja nasze potrzeby psychiczne i naszą tęsknotę do błogostanu. Chcielibyśmy widzieć cały naród w stanie jak największego rozwoju sił fizycznych. Pamiętam z jakiem zadowoleniem odczytywałem, jako młodzieniec, w charakterystyce Polaków Marcina Kromera zdanie: „siła i zręczność ciała—niepospolite”. Przyznam się jednak, że obraz olimpijskich pacjentów mało się do pobudzenia dumy narodowej przyczyniał.

Jeżeli jednak konieczne jest to hodowanie jednostek, zdolnych do wykazywania najwyższych ułamków sekundy w biegach, czy centymetrów w skokach, jeżeli jest, powtarzam, konieczne ze względu na szczepienie ogółowi żyłki współzawodnictwa (a nie da się zaprzeczyć, że taki wzgląd może mieć swój walor w dzisiejszych czasach i przy naszej dość ospałej psychice), to może się to z powodzeniem odbywać jedynie tylko na podstawie wydatnego podniesienia kultury fizycznej mas. Na ostatniej Olimpjadzie ponieśliśmy dotkliwą porażkę i sądzę, że pomijając jakieś wadliwe gospodarowanie rozporządzalnym materjałem, zasadniczą tego przyczyną jest szczupłość rezerwoaru, z jakiego w porównaniu z innemi narodami możemy czerpać. Nasza kultura fizyczna i sport są znacznie młodsze, niż gdzieindziej i nie ogarnęły tak wielkiej części narodu, jak w niektórych innych krajach. Rezerwoar, z którego można wyławiać talenty, jest mniejszy i mając mały wybór musimy stawiać wszystko na jednego człowieka i przegrywamy.

Myślę, że tem też się tłumaczy zastanawiający fakt zdobywania nagród na wszystkich Olimpjadach przez nasze zawodniczki w stosunku znaczniu lepszym, niż to osiągają mężczyźni. Nasz sport kobiecy jest nie o wiele młodszy od sportów kobiecych w innych krajach, od niektórych jest nawet starszy. Czerpiemy więc ze stosunkowo nie mniejszego rezerworu, niż inni i rezultaty są dobre. Chyba to tłumaczenie jest trafne; chcę przynajmniej w nie wierzyć, żeby nie doznawać uczucia zbyt upokorzającego na widok tej dzielności naszych pań, niech im Pan Bóg da zdrowie.

Tak oto na stare lata wypada się zajmować problemami, które w młodości albo wcale nie istniały, albo też jeżeli istniały, to je się ignorowało. Najlepsza to bodaj oznaka tego jak się czasy zmieniają...

ARGUS

NA MARGINESIE

Niezrównana jest ta polszczyzna żydków z PAT-a! Oto dnia 19 b. m. nasza urzędowa agencja donosi, że do Genewy udaje się delegacja rządu madryckiego, której zadaniem będzie „uzyskanie pewnego poparcia na marginesie wrześniowej sesji Ligi Narodów”.

Świetny doprawdy jest ten „margines sesji“! Co za styl, co za wyobraźnia...

*

P. Wojciech Stpiczyński (kilkanaście razy prawomocnie skazany za oszczerstwo w druku) pisze w „Kurjerze Porannym“: „Nie dziwimy się więc jeżeli zawód dziennikarza nie cieszy się w społeczeństwie zbytnim szacunkiem“...

Racja, racja... I my także się nie dziwimy.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNĄ, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.